

\* \* \*

Katarzyna Grysińska-Jarmuła, *Hrabia Bogdan Hutten-Czapski (1851–1937). Żołnierz, polityk i dyplomata*, Toruń 2011, Europejskie Centrum Edukacyjne, ss. 532

„Szlachetne pochodzenie, narodowość polska, przynależność państwowa pruska, wyznanie katolickie, liberalne przekonania polityczne, niezależność materialna, wychowanie kosmopolityczne, radość życia, pęd do wiedzy, zamiłowanie do pracy, lubowanie się w podróżyach”<sup>1</sup> — tak u schyłku życia etykietował się hrabia Bogdan Hutten-Czapski, wielkopolski arystokrata, który pomimo polsko-katolickiej proweniencji, jako jeden z nielicznych Polaków dotarł na szczyty politycznego establishmentu w cesarstwie Hohenzollernów. Ten cierpiący na przerost ambicji i posiadający nieprzebrane pokłady megalomanii dziedziczny członek pruskiej Izby Panów, wysyłany w tajnych misjach dyplomata cesarski, burgrabia poznańskiego zamku Wilhelma II, podpułkownik armii pruskiej oraz wyjątkowo wytrwały kolekcjoner wielu innych godności, zaszczytów i tytułów, zarazem salonowy lew i *bon vivant* swoje barwne i długie życie zrecenzował na kartach monumentalnych pamiętników<sup>2</sup>. Ale ponieważ pisał je w celu wystawienia sobie łuku triumfalnego u potomności, jego memuary skażone są nadmierną subiektywnością w interpretacji wydarzeń, w szczególności przecenianiem swojej osoby w kształtowaniu biegu wydarzeń<sup>3</sup>.

Wbrew temu bowiem, co hrabia przedstawiał w wystawionym sobie 1000-stronicowym dytyrambie, współcześni nie darzyli go większą sympatią i marginalizowali jego zasługi. Patriotyczne koła polskie dopatrywały się w nim przede wszystkim zniemczonego Polaka

---

<sup>1</sup> B. Hutten-Czapski, *Sechzig Jahre Politik und Gesellschaft*, t. I–II, Berlin 1936 (polskie wydanie: *Sześćdziesiąt lat życia politycznego i towarzyskiego*, t. I–II, Warszawa 1936; tu t. I, s. VII).

<sup>2</sup> B. Graf von Hutten-Czapski, op. cit.

<sup>3</sup> Zob. F. Hartung, *Graf von Hutten-Czapski*, „Historische Zeitschrift”, t. CLIII, 1936, s. 548–559.

i germanofila. Wnikliwa obserwatorka ludzkiej kondycji i ludzkich przypadłości, Maria z Branickich Lubomirska, żona regenta Zdzisława Lubomirskiego, podsumowała hrabiego krótko: „Człek dobry, ale tchórzliwy, ziemczony dworak, typ Menelausa”, „histeryczny dworak”<sup>4</sup>. Co o nim myślała naprawdę, wyraziła w innym miejscu, dając upust wyraźnej do niego niechęci: „Ubawiło mnie przerażone spojrzenie Czapskiego, jakoby po ukąszeniu osy w zadek”<sup>5</sup>. Podobną niepocholebną opinię „ziemczanego dworka” wystawił mu warszawski polityk i ekonomista Stanisław Dzierzbicki, członek Tymczasowej Rady Stanu (1917), a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości minister gospodarki<sup>6</sup>. Natomiast nacjonalistyczne kręgi w Berlinie widziały w Hutten–Czapskim zagorzałego kleryka i Polaka. Kanclerz Rzeszy w latach 1900–1909 Bernhard von Bülow, wcześniej przełożony Hutten–Czapskiego w ambasadzie w Paryżu, ocenił go w swoich pamiętnikach jako kłamliwego intryganta i watykańskiego agenta<sup>7</sup>. Generał von Waldersee, długoletni protektor Hutten–Czapskiego, a zarazem kwatremistrz generalny i zastępca szefa sztabu generalnego, pisał o nim jako o „fanatycznym Polaku i jezuitcie”<sup>8</sup>. Istotny kamyczek do charakterystyki hrabiego z okresu I wojny światowej dorzucił Georg Cleinow, świetnie obeznany z problematyką polską niemiecki publicysta i polityk: To „przemily staruszek” z „otwartym sztyletem za plecami”, „owładnięty manią wielkości, którą przewyższały jedynie ponadprzeciętna wścibskość i chorobliwa ciekawość”<sup>9</sup>. Jego przeciwnicy polityczni twierdzili bez ogródek, że „otaczanie się nimbem chwały pierwszych osobistości cesarstwa niemieckiego” hrabia uczynił osią swojego długiego życia, a szczególnie zaś wysiłek wkładał w to, by „wedrzyć się w łaski akurat rządzących kanclerzy, uzyskać prawo wstępu na ich prywatne salony, co mu się znakomicie udało w przypadku księcia v. Hohenlohe<sup>10</sup> i księcia v. Bülowa”<sup>11</sup>. O niebo lepiej wypowiedział się o Hutten–Czapskim Włodzimierz Dworaczek, w pisany w rok po śmierci hrabiego biografie w *Polskim słowniku biograficznym*: „Szczery katolik, przekonany postępowych, odznaczał się niezwykłą ruchliwością i pracowitością oraz różnorodnością zainteresowań”, a jego ogłoszone za życia pamiętniki uznał za papierek lakmusowy „rzadkiej prostolinijności i odwagi cywilnej”<sup>12</sup>.

Musiałoby jednak upłynąć niemal 8 dekad od śmierci hrabiego, by sprzeczne o nim opinie oraz samo jego barwne i długie życie (i to pomimo słabego zdrowia w dzieciństwie), wypełnione po brzegi splendorem salonów i służbą dyplomatyczną, poddać weryfikacji historyka. Tego śmiałego zadania podjęła się na kartach przedłożonej na Uniwersytecie w Bydgoszczy pracy doktorskiej Katarzyna Grysińska–Jarmuła. I wywiązała się z niego znakomicie.

<sup>4</sup> *Pamiętnik Księżnej Zdzisławowej Lubomirskiej*, Poznań 1997, s. 279, 321.

<sup>5</sup> *Ibidem*, s. 647.

<sup>6</sup> S. Dzierzbicki, *Pamiętnik z lat wojny*, Warszawa 1983, s. 73.

<sup>7</sup> Zob. B. von Bülow, *Denkwürdigkeiten*, hrsg. v. F. Stockhammer, t. I, Berlin 1930; K. Grysińska, *op. cit.*, s. 83–84.

<sup>8</sup> *Denkwürdigkeiten des Generalfeldmarschalls Alfred Graffes von Waldersee*, bearbeitet und hrsg. von H. O. von Meisner, t. II, Osnabrück 1967, s. 218.

<sup>9</sup> G. Cleinow *Der Verlust der Ostmark*, Berlin 1934, s. 51.

<sup>10</sup> Chlodwig Fürst Hohenlohe–Waldenburg–Schillingsfürst (1819–1901), w latach 1894–1900 kanclerz Rzeszy.

<sup>11</sup> Gottfried von Hohenlohe an Burián [minister spraw zagranicznych rządu austro–węgierskiego], vom 8. Mai 1916, w: U. Prutsch, K. Zyrlinger, *Leopold von Andrian. Koresspondenz, Notizen, Essays, Berichte* Wien–Köln–Weimar 2003, s. 331, (Veröffentlichungen der Kommission für Neuere Geschichte Österreich, t. XCVII).

<sup>12</sup> W. Dworaczek, *Czapski–Hutten*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. IV, Kraków 1938, s. 180.

Choć sam obiekt jej studium tego zadania jej nie ułatwił. Hutten–Czapski należał bowiem, po pierwsze, do aktorów politycznych drugiego planu, kryjąc się za plecami czołowych postaci w Niemieckim Cesarstwie Hohenzollernów, ponadto z lubością preferując zakulisowe pociąganie za sznurki. A po drugie był bardziej nietypowym niż typowym Polakiem w Poznaniu, i to od samego początku, skoro nie należał do żadnego z archetypów polskich studentów studiujących w Niemczech<sup>13</sup> i przeszedł przez niestandardową dla Polaków karierę wojskową w armii pruskiej (s. 63).

Przed wszystkim Autorka nie psychologizuje, jakkolwiek celnie oddaje osobowość hrabiego. Przykładowo megalomanię arystokraty niemal podręcznikowo pointuje, akcentując jego uporczywe zabiegi o przyznanie mu tytułu *Ekscelencji* (s. 251). Nie próbuje także nadinterpretować i tworzyć biografii bez luk — szanując jej braki. Unika w ten sposób wąskiej logiki „biograficznej utopii”, zdeterminowanej linearności, zdemaskowanej ongiś przez Jean–Claude’a Passerona<sup>14</sup>. Hutten–Czapski nie podąża niewzruszenie ku swojemu przeznaczeniu, lecz określa się w każdym kolejnych wyborach. Ukazany jest więc on razem ze swoimi wahaniami, począwszy od dręczących go rozterek, dotyczących wystąpienia ze służby wojskowej, w której przebieg kariery nie zaspokajał jego ambicji (s. 92). W szczególności jednakże, jakby wzorując się na matrycy nowoczesnej biografii politycznej, wytoczonej przez jej pioniera i mistrza Jacquesa Le Goffa<sup>15</sup>, który razem z Pierrem Bourdieu<sup>16</sup> przełamał rzekomą sprzeczność między jednostką a historią strukturalną, Autorka przedstawia Hutten–Czapskiego jako postać globalizującą cały szereg zjawisk<sup>17</sup> — w tym przypadku zachodzenie na siebie historii Polski i Niemiec końca XIX i początku XX w. Ale także i inne obszary, na których hrabia w sieci rozmaitych odniesień prowadził swoją grę, takie jak dyplomację, służbę wojskową czy relację państwo–Kościół katolicki na przełomie XIX i XX w. Wyjątkowo celnie oddają to semantycznie tytuły rozdziałów, poświęcone kolejno: dziejom rodziny Czapskich, przebiegowi służby wojskowej, zagranicznym misjom dyplomatycznym, w tym także działalności prowadzonej na styku obszarów cesarstwa niemieckiego i Kościoła katolickiego, odgrywanej roli u boku kanclerzy niemieckich, działalności parlamentarnej oraz jako murgrabiego zamku poznańskiego, aktywności na pograniczu niemiecko–polskim i w obrębie życia towarzyskiego berlińskich salonów i europejskiego *high–society*, wreszcie misji w zdobytej przez Niemców w okresie I wojny światowej Kongresówce w charakterze politycznego doradcy generał–gubernatora v. Beselera<sup>18</sup> oraz roli w II RP, w szczególności w szeregach Zakonu Maltańskiego.

Wyraźnie zarysowane zostały trzy główne zagadnienia, stanowiące osie pracy, a przebiegające wokół jasno sprecyzowanych kwestii:

- 1) starań hrabiego, nakierowanych na ułożenie relacji niemiecko–polskich na drodze pokojowej egzystencji tych dwóch narodowości, najpierw w obrębie jednego państwa, po 1915 r. w dwóch organizmach państwowych,

<sup>13</sup> Zob. W. Molik, *Polskie peregrynacje uniwersyteckie do Niemiec 1871–1914*, Poznań 1989, s. 84.

<sup>14</sup> Zob. J.–C. Passeron, *Le scénario et le corpus. Biographies, flux, itinéraires, trajectoires*, w: *Le raisonnement sociologique*, Paris 1991, s. 185–206. Zob. też: P. Bourdieu, *L’illusion biographique*, „Actes de la recherche en sciences sociales”, nr 62–63, 1986, s. 69–72.

<sup>15</sup> Zob. J. Le Goff, *Ludwik Świąty*, Warszawa 1998.

<sup>16</sup> Zob. P. Bourdieu, *Choses Wites*, Paris 1987, (niem. *Rede und Antwort*, Frankfurt am Main 1987, s. 43).

<sup>17</sup> J. Le Goff, op. cit., s. 13.

<sup>18</sup> Zob. A. Stempin, *General–pułkownik Hans Hartwig von Beseler — generalny gubernator warszawski w latach 1915–1918*, „Dzieje Najnowsze” 2011, 3, s. 21–35.

- 2) uwypuklenia głównej motywacji w poczynaniach Hutten–Czapskiego, pruskiej racji stanu, jaką się kierował wobec międzynarodowych podmiotów politycznych, w tym także wobec Kościoła katolickiego,
- 3) wyjaśnienia determinantów kariery Polaka w państwie pruskim.

Na uznanie zasługuje skonfrontowanie monumentalnych pamiątek hrabiego, subiektywnie kreującego się na przyjaciela niemal połowy politycznego Berlina w okresie rządów kanclerzy v. Hohenlohe, v. Bülowa i Bethmanna–Hollwega, z imponującą bazą źródłową, co gwoli sprawiedliwości ułatwił sam Czapski, który niezwykle skrupulatnie gromadził dokumenty. Do nich dotarła Autorka, zarówno w Polsce: Muzeum Czapskich w Krakowie, Archiwum Państwowe w Poznaniu, jak i w Niemczech: Bundesarchiv Berlin, Bundesarchiv Freiburg, Politisches Archiv des Auswärtigen Amtes, Geheimes Preußisches Staatsarchiv, ponadto skonsultowała najważniejszą literaturę przedmiotu, niemiecką i polską.

Przy tyłu konstytuujących pracę zaletach niewielkie deficyty giną w mgłę niebytu i są raczej przejawem akrybicznego szukania przez recenzenta dziury w całym.

1. Zabrakło zaakcentowania działalności Hutten–Czapskiego w Generalnym Gubernatorstwie Warszawskim 1915–1918, niemal parabolicznie wieńczącego jego życie, tego finalnego dzieła w zakresie prokurowania i patronowania wymarzonej konwergencji niemiecko–polskiej.
2. Niepotrzebnie przywołano w sumarycznej ocenie hrabiego kryterium polskiej racji stanu, ocierające się niemal o ocenę etyczną, skoro trzeźwa analiza zawiodła Autorkę do słusznego stwierdzenia, że Hutten–Czapski okazał się lojalnym poddanym cesarza: „Niestety, [...] szanował wprawdzie tradycję narodową (polską), ale jej nie kontynuował. [...] Wszystko wskazuje jednak na to, że nie stanowiło to dla niego żadnego problemu. [...] Wiernym obywatelem Rzeszy Niemieckiej pozostał do końca I wojny światowej” (s. 458).
3. Pomimo wielce udanego przedsięwzięcia — globalizowania biografii — praca zbacza niekiedy w zbytnią drobiazgowość, czego przykładem jest przedłożona lista niekończących się odznaczeń hrabiego (s. 123–129) — jakby Autorka chciała usatysfakcjonować jego samego. Tym bardziej jest to niepotrzebne, że kwestie przyznania mu kluczowych odznaczeń wkomponowane są w szersze tło (s. 247).
4. Zdarzają się (rzadko) powtórzenia, np. o umiarkowanych poglądach polskiego kandydata do godności abp. gnieźnieńskiego (s. 147, 148).
5. Projekt statutu dla wydziału teologicznego Uniwersytetu Warszawskiego, opracowany z początkiem 1916 r. przez powołaną przez abp warszawskiego, Aleksandra Kakowskiego, komisję, przewidywał, nie jak zaznaczono, zwiększenie wpływu biskupów (s. 384) czy episkopatu polskiego (s. 385), tylko wyłącznie abp. warszawskiego, posiadającego indywidualne prawo zwierzchnie wobec wydziału.

Arkadiusz Stempin  
Freiburg–Kraków

Halina Bieluk, *Jacqueline Kennedy: pierwsza dama i jej wizerunek*, Gdynia 2011, Nowae Res — Wydawnictwo Innowacyjne, ss. 260

Określenie „first lady” weszło do powszechnego użycia stosunkowo od niedawna. Najprawdopodobniej po raz pierwszy nazwano tak w 1870 r. Julię Grant. Zdania pod tym względem są podzielone, ponieważ niektórzy amerykańscy badacze twierdzą, że tytułowano w ten sposób już Mary Todd Lincoln. Niemniej jednak używanie tego terminu rozpowszechniło się od 1877 r., kiedy prezydentową była Lucy Webb, żona Rutherforda Hayesa. W XVIII i XIX w. „pierwsze damy” nie odgrywały większej roli, nie angażowały się w przedsięwzięcia publiczne, zazwyczaj stały w cieniu mężów, a ich rola ograniczała się do funkcji czysto reprezentacyjnych. Występowały przede wszystkim w charakterze gospodyń Białego Domu. Niektóre małżonki prezydentów nie były zadowolone z takiego ograniczania ich roli, chociaż należy podkreślić, że zbyt duże angażowanie się w sprawy kraju również nie spotykało się z aprobatą rodaków. Dopiero Eleanor Roosevelt nadała tej funkcji większą rangę.

Obecnie jest to najwyższe nieobieralne stanowisko w Stanach Zjednoczonych. Rola i zaangażowanie żon prezydentów w działalność publiczną stale rośnie. Większości z nich nie wystarcza tradycyjna funkcja ceremonialna. Tym bardziej że są równie dobrze wykształcone jak ich mężowie i nieraz same zajmują wysokie stanowiska, a nawet mają aspiracje polityczne, choćby Hillary Clinton. Dlatego trudno jest im rezygnować z własnych ambicji. Jakkolwiek nawet niektóre współczesne prezydentowe, chociażby Barbara Bush czy Laura Bush, nie starały się uciec poza zwyczajowe ramy.

Warto zauważyć, że prezydent ma ściśle określone kompetencje, natomiast obowiązki „first lady” nie są nigdzie zapisane. Nie mówi o niej Konstytucja ani żadna inna ustawa. Nie ma też z góry narzuconych obowiązków. Nie należy zapominać, że „pierwsza dama” należy do najbliższego otoczenia prezydenta, dlatego może wprost czy pośrednio wpływać na jego decyzje. Jednakże nie powinna otwarcie okazywać, że ma jakiś wpływ na politykę, ponieważ odbija się to niekorzystnie nie tylko na wizerunku „first lady”, ale i prezydenta.

Do najważniejszych obowiązków „pierwszej damy” należy wypełnianie funkcji ceremonialnej, a więc zadań wynikających z bycia gospodynią Białego Domu. Żona prezydenta organizuje życie towarzyskie, uczestniczy w różnego rodzaju spotkaniach. Może wraz z mężem, a także w jego zastępstwie podróżować po kraju i za granicę. Poza tym, jak każda gospodyni zarządza domem. Bardzo ważną płaszczyzną aktywności „first lady” jest wspieranie akcji społecznych i charytatywnych.

Amerykańskie „pierwsze damy” od zawsze wzbudzały zaciekawienie rodaków. Miało to związek przede wszystkim z rolą, jaką odgrywali ich mężowie. Małżonki prezydentów, jak i sama instytucja „first lady”, cieszą się w kręgach badaczy coraz większym zainteresowaniem. Wcześniej wspominało się o nich przede wszystkim w pracach poświęconych prezydentom, w zależności od tego, jaką rolę odgrywały w ich życiu. Warto dodać, że o niektórych rezydentkach Białego Domu historycy pisali szczególnie chętnie i ta tendencja wciąż się utrzymuje. Były to: Eleanor Roosevelt, Mary Todd Lincoln, Jacqueline Kennedy i Hillary Clinton.

W nauce polskiej brakuje publikacji poświęconych amerykańskim „pierwszym damom”, choć warto wspomnieć o kilku artykułach Haliny Parafianowicz, która już przed laty podjęła tę tematykę<sup>1</sup>. Jest ona również autorką biografii jednej z najwybitniejszych mieszkank

<sup>1</sup> H. Parafianowicz, *Lou Henry Hoover — kobieta niezwykła i niezapomniana „first lady”*, „Studia

Białego Domu — Eleanor Roosevelt<sup>2</sup>. Wypada też wspomnieć o pracy Longina Pastusiaka<sup>3</sup>, w której autor przybliżył czytelnikom amerykańskie „pierwsze damy”, jak i podobnej pozycji autorstwa amerykańskiej pisarki, córki Harry’ego i Bess Truman — Margaret Truman<sup>4</sup>. Oprócz tego na polskim rynku wydawniczym ukazały się nieliczne tłumaczenia zachodnich publikacji, chociażby monografia Davida Lestera o Jacqueline Kennedy<sup>5</sup>, Beaty de Robien na temat Eleanor Roosevelt<sup>6</sup> oraz Carla Bernsteina<sup>7</sup> i Mario Dederichsa<sup>8</sup> o Hillary Clinton.

Poniżej zaprezentuję pierwszą na rynku polskim tak szczegółową monografię jednej z najpopularniejszych amerykańskich „pierwszych dam” Jacqueline Kennedy autorstwa Haliny Bieluk. Warto wspomnieć, że recenzowana praca jest efektem jej wieloletnich badań przeprowadzonych w amerykańskich i europejskich placówkach naukowych do przygotowywanej w języku angielskim dysertacji doktorskiej obronionej w Instytucie Historii Uniwersytetu w Białymstoku. W wersji książkowej ukazała się teraz w języku polskim.

Publikacja Haliny Bieluk nie jest biografią Jacqueline Kennedy, gdyż Autorka pragnęła przede wszystkim opisać przedsięwzięcia, którymi zajmowała się prezydentowa w czasie swojego pobytu w Białym Domu, oraz zaprezentować jej wizerunek z tego okresu. W recenzowanej pracy starano się również rozstrzygnąć, w jakim zakresie Jacqueline Kennedy miała wpływ na kreowanie własnego wizerunku i czy w znaczący sposób zmienił się on w ciągu kilku lat prezydentury J. F. Kennedy’ego. Losy „pierwszej damy” Autorka zaprezentowała na tle sytuacji w ówczesnych Stanach Zjednoczonych; stąd czytelnik, który nie posiada rozległej wiedzy historycznej, może osadzić bohaterkę recenzowanej pracy w ówczesnych realiach i przez to bardziej zrozumieć motywy jej działania. Praca byłaby pełniejsza, gdyby Halina Bieluk porównała Jacqueline Kennedy z innymi „pierwszymi damami”. W ten sposób byłoby łatwiej ocenić jej pozycjonowanie.

Baza źródłowa recenzowanej pracy jest bogata, zróżnicowana i bardzo rozległa, gdyż Autorka opierała się na źródłach dostępnych w amerykańskich i europejskich placówkach naukowych. W Stanach Zjednoczonych H. Bieluk korzystała ze zbiorów przechowywanych w Bibliotece Prezydenckiej Johna F. Kennedy’ego w Bostonie, gdzie miała dostęp m.in. do wywiadów zgromadzonych w ramach specjalnego projektu, dotyczącego „first lady”. Poza tym wykorzystała informacje znajdujące się w zespołach: White House Social Files, Pierre Salinger Papers, Democratic National Committee Papers i innych. Dużym utrudnieniem dla badaczy jest klauzula tajności, którą wciąż opatrzone są niektóre prywatne dokumenty Jacqueline Kennedy i inne materiały na jej temat przechowywane w Bibliotece Prezydenckiej Johna F. Kennedy’ego. Wiele cennych archiwaliów dotyczących pani Kennedy Autorka znalazła również w Library of Congress w Waszyngtonie. Wśród nich na uwagę zasługują zwłaszcza: Bess Furman Papers i Edith Wilson Papers. Miała też możliwość poszerzenia ba-

---

Podlaskie” 1993, t. IV, s. 115–126; eadem, *Bess Wallace Truman — amerykańska enigma i „boss” prezydenta*, „Studia Podlaskie” 1996, t. VI, s. 79–94; eadem, *Jacqueline Kennedy — amerykańska „first lady” i jej legenda*, „Białostockie Teki Historyczne” 1996, t. II, s. 211–229; eadem, *Jacqueline Kennedy Onassis — legendarna amerykańska „first lady” w amerykańskich publikacjach*, „Studia Podlaskie” 1998, t. VIII, s. 157–162.

<sup>2</sup> Eadem, *Eleanor Anna Roosevelt (1884–1962) — w cieniu wielkiego męża*, Warszawa 2000.

<sup>3</sup> L. Pastusiak, *Panie Białego Domu*, Warszawa 1994.

<sup>4</sup> M. Truman, *Pierwsze Damy: kulisy Białego Domu*, Warszawa 1997.

<sup>5</sup> D. Lester, *Jacqueline Kennedy Onassis*, Warszawa 1994.

<sup>6</sup> B. de Robien, *Eleanor Roosevelt — między namiętnością a polityką*, Warszawa 2004.

<sup>7</sup> C. Bernstein, *Hillary Clinton*, Warszawa 2008.

<sup>8</sup> M. Dederichs, *Hillary Clinton czyli władza kobiet*, Warszawa 1994.

zy źródłowej o materiały zgromadzone w dwóch ważnych amerykańskich ośrodkach europejskich: Roosevelt Study Center w Middelburgu (Holandia) oraz John F. Kennedy Institute for North American Studies w Berlinie.

Praca składa się ze wstępu, czterech rozdziałów ułożonych w porządku chronologicznym oraz zakończenia. Drobnym mankamentem publikacji jest brak indeksu nazwisk oraz streszczenia w języku angielskim. W pierwszym, wprowadzającym rozdziale Autorka prześledziła najważniejsze wątki z życia Jacqueline Kennedy zanim została ona „first lady”. Skoncentrowała się przede wszystkim na kwestiach, które mogły mieć istotny wpływ na to, jak bohaterka recenzowanej monografii w późniejszym okresie wypełniała obowiązki jako „pierwsza dama”. W kolejnych rozdziałach skupiła się na wnikliwej charakterystyce aktywności Jacqueline Kennedy w trakcie prezydentury męża. Szczegółowo przedstawiła, jak ewoluowało jej podejście do wypełniania funkcji „first lady” oraz jak zmieniał się wizerunek prezydentowej w czasie kilku lat pobytu w Białym Domu i po zamachu na męża. Ogromną zaletą recenzowanej pracy jest to, że badaczka poszerzyła ramy chronologiczne i wyszła poza przerwana dramatycznie prezydenturę męża i w ostatnim rozdziale przybliżyła zmiany w postrzeganiu Jacqueline Kennedy po jej odejściu z Białego Domu.

W rozdziale pierwszym (s. 19–76) Autorka zaprezentowała sylwetkę Jacqueline Kennedy zanim została „pierwszą damą”. Skupiła się w nim na przedstawieniu najważniejszych faktów z życia przyszłej prezydentowej, bez zbytecznego rozpisywania się o mało istotnych wydarzeniach. Wybrała przede wszystkim te kwestie z biografii Jacqueline Bouvier, które według niej odegrały najistotniejszą rolę w kształtowaniu jej charakteru. Dlatego w recenzowanej pracy nie zabrakło informacji na temat jej pochodzenia i stosunków rodzinnych. Warto zauważyć, że na życie dorastającej panny niebagatelny wpływ miało nieudane, zakończone rozwodem małżeństwo rodziców, jak i ponowny ślub matki z milionerem Hugh D. Auchinclossem Jr., dzięki któremu znacznie poprawiła się sytuacja materialna i status rodziny (s. 19–25). Autorka dostrzega, że sielskie życie Jacqueline Bouvier początkowo zakłócał wielki kryzys gospodarczy, a później wybuch drugiej wojny światowej. Nie można zapomnieć o tym, że bohaterka recenzowanej pracy odebrała staranne wykształcenie w prestiżowych szkołach, takich jak: Chapin School, Miss Porter’s, Vassar College, Sorbona oraz George Washington University. Miała też możliwość rozwijania zdolności artystycznych, do czego rodzina ją szczególnie zachęcała (s. 27–36).

W recenzowanej pracy szczegółowo opisano, jak doszło do małżeństwa Jacqueline Bouvier z młodym, obiecującym politykiem Johnem F. Kennedym. Badaczka twierdzi, że trudno było rozstrzygnąć: „czy ta znajomość była oparta na wzajemnej fascynacji, jak twierdził Edward Kennedy, czy podtrzymywali ją z rozsądku, ku czemu skłaniał się Lem Billings. Najprawdopodobniej związek ten był kombinacją obu tych elementów” (s. 40). Nie ulega wątpliwości, że Kennedy, chcąc dalej rozwijać karierę polityczną, potrzebował żony, a Jacqueline Bouvier ze względu na swoje pochodzenie, wykształcenie i koneksje, była dobrą kandydatką. Należy też dodać, że ich ślub, który odbył się we wrześniu 1953 r., był wielkim wydarzeniem towarzyskim (s. 40–43).

W pierwszych latach małżeństwa pani Kennedy starała się wspierać męża i pomagać mu w rozwoju kariery politycznej. Nawet wtedy, gdy małżonek nie doceniał jej wysiłków i „odpłacał się zdradami” (s. 43–46). Autorka nieraz bardzo krytycznie pisała o ich relacjach, zauważając, że małżeństwo Kennedych przechodziło wiele kryzysów, a jeden z nich mógł zakończyć się nawet rozwodem. Miało to miejsce w 1956 r., kiedy Jacqueline Kennedy urodziła martwe dziecko, a jej mąż zamiast być przy niej i ją wspierać, udał się w rejs po Morzu Śródziemnym (s. 46–49). Badaczka nie rozstrzygnęła, dlaczego Jacqueline Kennedy osta-

tecznie nie zdecydowała rozstać się z mężem, ponieważ na ten temat krążyło i do dziś krąży wiele plotek i rozmaitych opinii. Niemniej jednak sugerowała, że bardzo prawdopodobna była wersja przedstawiana przez poważnych badaczy, którzy twierdzili, że chodziło o przekazanie Jacqueline przez Josepha Kennedy'ego znacznej kwoty pieniędzy w zamian za zrezygnowanie z planów rozwodowych (s. 47–48).

Po zwycięstwie Johna F. Kennedy'ego w wyborach prezydenckich 1960 r., Jacqueline Kennedy miała wiele obaw, czy podobała oczekiwaniom rodaków, i dlatego starała się jak najlepiej przygotować do wypełniania nowych obowiązków. Zdaniem badaczki, tak naprawdę nie musiała martwić się, czy zostanie zaakceptowana w nowej roli, ponieważ była młoda, dobrze wykształcona i elokwentna, czyli posiadała te cechy, które predysponowały ją do bycia dobrą „pierwszą damą” (s. 76). Faktycznie, z perspektywy czasu wydawać się może, że pani Kennedy miała takie przymioty, które ułatwiły jej odniesienie sukcesu, ale przed objęciem stanowiska przez małżonka nie było jeszcze wiadomo, czy „pierwsza dama” będzie potrafiła właściwie wykorzystać swoje atuty, by sprostać oczekiwaniom rodaków, ponieważ jej działania mogły zostać źle odebrane.

Kolejny rozdział „Narodziny ikony: przymiarki do roli pierwszej damy” (s. 77–129) Halina Bieluk rozpoczęła od opisanie roli, jaką odegrała Jacqueline Kennedy w czasie inauguracji prezydentury męża. Autorka przychyliła się do ugruntowanych opinii, że wyszukane kreacje, w których wystąpiła w czasie uroczystości, uczyniły z niej ikonę mody (s. 77–82). W wielu miejscach recenzowanej pracy badaczka wspominała o nadmiernej, wręcz chorobliwej skłonności Jacqueline Kennedy do kupowania drogich strojów od najlepszych kreatorów mody. Warto zauważyć, że pani Kennedy, chcąc dobrze prezentować się jako „pierwsza dama”, jeszcze przed inauguracją nawiązała współpracę z projektantem Olegiem Cassinim. W recenzowanej pracy słusznie zwrócono uwagę na to, że żona prezydenta za bardzo koncentrowała się na modzie. Naturalnie nie wszystkim się to podobało. Niemniej jednak, Autorka twierdzi, że głosy krytyczne nie zburzyły misternie stworzonego wizerunku, bo i tak miliony rodaków ją uwielbiały (s. 82–83).

W początkowym okresie swego pobytu w Białym Domu pani Kennedy podobno była „zagubiona” i nie bardzo wiedziała, jak sobie radzić z nowymi zadaniami. Chciała przede wszystkim pozostać dobrą żoną i matką, a swoją aktywność publiczną ograniczyć do minimum. Halina Bieluk sugerowała wręcz, że prezydentowa swoje obowiązki traktowała jako „balast”, co, jak twierdzi, „nie było łatwe w sytuacji, gdy rozbudzono nadzieje i oczekiwania tak wielu Amerykanów” (s. 83). Warto dodać, że pani Kennedy nie mogła pogodzić się również z utratą prywatności, którą chciała za wszelką cenę chronić, szczególnie dla dobra swoich dzieci (s. 83–91). Wydaje się, że była skuteczna w tych zabiegach.

W recenzowanej pracy szczegółowo i ciekawie omówiono dwa główne pola aktywności Jacqueline Kennedy w czasie, gdy była „pierwszą damą”. Były to: renowacja Białego Domu oraz promocja sztuki i kultury. Szczególnie dużo serca, zdaniem Autorki, pani Kennedy włożyła w restaurację siedziby prezydentów Stanów Zjednoczonych. Badaczka twierdzi, że chciała ona w ten sposób „przekształcić zaniedbany budynek w rezydencję odpowiednią dla głowy państwa” (s. 93). Zdumiewa rozmach, z jakim prezydentowa podeszła do realizacji projektu, a także ogrom wykonanych we wnętrzach Białego Domu, zresztą bardzo kosztownych, prac. Należy również podziwiać determinację, z jaką „pierwsza dama” przystąpiła do urzeczywistnienia swojego przedsięwzięcia, nie zwracając uwagi na głosy krytyczne, których również nie brakowało. Podobno Jacqueline Kennedy zaangażowała się w projekt restauracji Białego Domu, ponieważ chciała uniknąć innych obowiązków związanych z funkcją „first lady” (s. 107).



Warto zauważyć, że pani Kennedy bardzo starannie przygotowała się do projektu renowacji Białego Domu. Pragnęła bowiem nie tylko wyremontować zaniedbane pomieszczenia, ale też nadać wnętrząm niepowtarzalny charakter, dekorując je antykami i pamiątkami o wartości historycznej. Co szczególnie ważne, w ten sposób chciała, jak pisała Bieluk, by: „Biały Dom symbolizował żywą i stale ewoluującą gałąź wykonawczą rządu federalnego”. Dlatego zrezygnowała z początkowych planów, w których zamierzała przywrócić rezydencji wygląd z czasów prezydentury Thomsa Jeffersona (s. 97). Trzeba podkreślić, że prezydentowa musiała bardzo ostrożnie realizować swoje przedsięwzięcie, by nie narazić się na zbyt dotkliwą krytykę, ponieważ wszelkie zmiany dokonywane w siedzibie prezydentów USA zawsze budziły zaniepokojenie rodaków.

Promocja kultury i sztuki oraz organizacja życia towarzyskiego w Białym Domu były kolejnymi przedsięwzięciami, w których Jacqueline Kennedy sprawdzała się doskonale (s. 107–108). Warto zaznaczyć, że były to te elementy życia, z którymi miała do czynienia od najmłodszych lat. Autorka podkreśla, że „pierwsza dama” wykorzystywała wydarzenia kulturalne również do celów politycznych i podniesienia prestiżu prezydentury męża (s. 108–111). Nie można nie zauważyć, że odniosła na tym polu niemałe sukcesy.

Badaczka niezwykle trafnie podsumowała pierwszy okres działalności Jacqueline Kennedy jako „first lady”: „Po trzech miesiącach ograniczania swojej działalności do minimum stała się pierwszą damą, na którą czekali Amerykanie. Kluczem do sukcesu okazało się interpretowanie obowiązków zgodnie z jej zainteresowaniami. Za każdym razem, gdy pani Kennedy zajmowała się sprawami związanymi ze sztuką, organizacją przyjęć czy też podróżami, nie można było jej zarzucić braku zaangażowania. Jej zagraniczne wojaże, zarówno te, w których towarzyszyła prezydentowi, jak samotne wyjazdy, nie mogły być bardziej spektakularne” (s. 113). Należy docenić, że Autorka nadmiernie nie idealizuje bohaterki swojej pracy. Dostrzega, że każdy ruch prezydentowej był nieraz misternie wyreżyserowany i zaplanowany tylko po to, by wykreować jak najlepszy wizerunek swój, jak również męża i rodziny. Robiła to w pełni świadomie i profesjonalnie.

W kolejnym rozdziale „Od amerykańskiej królowej po narodowy symbol siły” (s. 131–200) H. Bieluk opisała zmianę, jaka zaszła w postrzeganiu prezydentowej w kolejnym roku rządów J. F. Kennedy’ego: „Na początku drugiego roku administracji swojego męża Jacqueline Kennedy, która zaledwie rok wcześniej czuła się niepewnie w nowej roli, stała się osobą silną i wpływową. Kształtowała wizerunek nie tylko własny, lecz także prezydenta, jego rządów, a nawet samego Waszyngtonu” (s. 132). Autorka uważa, i nie bez powodu, że do jeszcze lepszych notowań „pierwszej damy” przyczynił się sukces programu wyemitowanego w telewizji CBS, w którym oprowadzała ona widzów po wyremontowanych apartamentach Białego Domu. Warto dodać, że program obejrzało około kilkadziesiąt milionów Amerykanów, a „pierwszą damę” uhonorowano za niego nagrodą Emmy (s. 132–135). W dalszej części pracy Bieluk sporo uwagi poświęciła: renowacji Białego Domu, wkładowi w promocję kultury oraz podróżom zagranicznym, w które „pierwsza dama” udawała się sama albo z mężem. Może trochę przeszkadzać, ze względu na przyjętą konstrukcję pracy, że poszczególne przedsięwzięcia Jacqueline Kennedy nie zostały omówione całościowo, w jednym miejscu.

Trzeba zauważyć, iż w 1963 r. Jacqueline Kennedy nie angażowała się w wypełnianie obowiązków związanych z funkcją „pierwszej damy” w takim stopniu, jak to miało miejsce w pierwszych latach prezydentury męża, ponieważ spodziewała się kolejnego dziecka. Za to, jak podawała Autorka: „John Kennedy z powodzeniem budował wizerunek silnego i niezależnego polityka” (s. 173) i nie potrzebował aż tak dużego wsparcia żony jak wcześniej.

Halina Bieluk dostrzegła w tym okresie coraz więcej rys w wizerunku Jacqueline Kennedy. Szczególnie niekorzystnie na postrzeganie „pierwszej damy” wpłynął rejs do Grecji, w który udała się na zaproszenie Arystotelesa Onassisa. Podobno wyprawa miała pomóc jej otrząsnąć się po stracie nowo narodzonego dziecka. Podróż prezydentowej po Morzu Śródziemnym w towarzystwie multimilionera została źle odebrana przez amerykańskie media. Dlatego, by poprawić nadszarpnięty wizerunek i wzmocnić pozycję męża, Jacqueline Kennedy zdecydowała się niedługo potem wyjechać z mężem do Teksasu. Był to jeden z przystanków kampanii przed wyborami prezydenckimi 1964 r. (s. 184–186).

W recenzowanej pracy, co jest zresztą zrozumiałe, niezwykle skrupulatnie przybliżono czytelnikom sytuację w Stanach Zjednoczonych po zabójstwie prezydenta w Dallas, a zwłaszcza rolę, jaką odegrała prezydentowa w tych trudnych dla Amerykanów chwilach (s. 191–198). Autorka z podziwem pisze o niezwykle dzielnej, heroicznej postawie Jacqueline Kennedy, która na długo pozostała w pamięci rodaków. Halina Bieluk podkreśla, że jej zachowanie w okresie bezpośrednio po zamachu, jak i w dniu pogrzebu pozwoliło wymazać z pamięci Amerykanów wszystkie negatywne opinie, które krążyły wcześniej na jej temat. Stała się bowiem, jak słusznie podkreśliła badaczka, „opoką i symbolem narodowej dumy dla swoich rodaków” (s. 200).

W ostatnim rozdziale „Poza Białym Domem — metamorfozy wizerunku byłej pierwszej damy” (s. 200–237) w interesujący sposób przedstawiono najważniejsze fakty z życia wdowy po prezydencie. W związku z tym, w monografii nie mogło zabraknąć informacji na temat: jej zabiegów, by należycie uczcić pamięć zmarłego męża i wykreować korzystny wizerunek jego prezydentury, małżeństwa z greckim milionerem Arystotelesem Onassisem, zaangażowania w pracę w wydawnictwie oraz związku z Maurice’em Tempelsmanem. Autorka pokazała również, jak zmieniał się wizerunek byłej „pierwszej damy” po opuszczeniu Białego Domu, a także po jej śmierci, która nastąpiła w dniu 19 V 1994 r. Warto odnotować, że prezydentową pochowano, zgodnie z jej ostatnią wolą, na cmentarzu Arlington, obok męża prezydenta, ich dzieci i Roberta Kennedy’ego.

W zakończeniu Halina Bieluk próbowała wyjaśnić powody tak ogromnej popularności Jacqueline Kennedy Onassis zarówno za życia, jak i po śmierci. Należy pamiętać o tym, że niepowtarzalny styl prezydentowej był wzorem dla milionów Amerykanek. Nawet wielcy kreatorzy mody co pewien czas tworzą modele inspirowane stylem, który wykreowała Jacqueline Kennedy. Nie należy zapominać, że na pani Kennedy wzorowały się w pewnym stopniu inne prezydentowe, chociażby Nancy Reagan, która również bardzo dbała o garderobę, a pobyt w Białym Domu rozpoczęła od restauracji rezydencji, której wnętrza niewiele zmieniły się od czasów Kennedy’ego. Ale jej działania, rozrzutność i „imperialny styl” spotkały się z ogromną krytyką rodaków, podczas gdy Jacqueline Kennedy była w tych poczynaniach akceptowana, a nawet stała się ikoną stylu. Zapewne dlatego, że była młoda i atrakcyjna, a swoją osobowością magnetyzowała ludzi.

Na koniec Autorka stwierdziła: „Wizerunek, a raczej kilka wizerunków, które okazały się tak wyraziste, stanowiły świadomą kreację pani Kennedy. Pracowała nad nimi od pierwszego dnia prezydentury swojego męża, kiedy została pierwszą damą stylu nie tylko w swoim kraju, aż po tragiczny epilog administracji Kennedy’ego. Wizerunki te towarzyszyły jej do końca życia, z czego pewno nie zawsze była zadowolona” (s. 246).

Recenzowana publikacja niewątpliwie zasługuje na uwagę zarówno szerszego grona czytelników, jak i środowiska historyków nie tylko amerykańistów. Dzięki wykorzystaniu bogatej bazy źródłowej zupełnie nieznannej, a przede wszystkim niedostępnej w Polsce, praca Haliny Bieluk jest nie tylko interesująca, ale i wartościowa. Wnosi wiele nowego światła do

wizerunku i legendy Kennedych, a w szczególności niej samej, jednej z najbardziej legendarnych mieszanek Białego Domu. Być może w przyszłości praca ta zainspiruje kolejnych badaczy chcących przybliżyć polskim czytelnikom inne amerykańskie prezydentowe.

Anna Stocka  
Białystok

Jean-Louis Margolin, *Japonia 1937–1945. Wojna Armii Cesarza*, tłum. Joanna Paulina Rurarz, Agnieszka Rurarz, Warszawa 2010, Wydawnictwo „Dialog”, ss. 532

O ile zmagania amerykańsko-japońskie w ramach II wojny światowej są w Polsce nieźle opracowane i dobrze znane niespecjalistom (choćby za sprawą Hiroszimy, ale też eksploatacja tych wątków przez historiografię PRL i hollywoodzką popkulturę), o tyle inne aspekty „wojny na Pacyfiku” nie miały tego szczęścia. Okupacją ogromnych połaci Azji mało kto chciał się w Europie zajmować, mając na podorzędu o wiele łatwiejszy w badaniu i bliższy czytelnikom (oraz, w wypadku np. PRL, wdzięczniejszy politycznie) temat okupacji nazistowskiej. W efekcie mało który Polak nie zdziwi się, słysząc postulat, by za początek drugiej wojny światowej uznać rok 1937, co wśród historyków australijskich, a także wielu amerykańskich i japońskich, jest powszechnie stosowaną datą. Zwłaszcza wojna w Chinach pozostaje dla większości niespecjalistów *terra incognita*, a o zrzuconiu bomb atomowych w 1945 r. często dyskutuje się bez rudymenarnej znajomości kontekstu historycznego. Z drugiej strony część „znawców” tworzących popularnonaukowe publikacje wyobraża sobie Japonię cesarską na podobieństwo Korei Północnej, to znaczy jako totalitarne państwo, nad którym absolutną władzę ma półboski władca i to on odpowiada za wszelkie agresywne działania swego kraju.

Obu tym grupom warto polecić książkę francuskiego historyka Jeana-Louisa Margolina, współautora znanej *Czarnej księgi komunizmu*, będącą (zwłaszcza na polskim rynku) dziełem wprost bezcennym. Autor zna nieźle współczesną anglo- i francuskojęzyczną literaturę przedmiotu (czyli w praktyce także większość publikacji na ten temat wychodzących w Azji). Sprawnie posługuje się nie tylko metodologią historyczną, ale też politologiczną, socjologiczną i antropologiczną (co prawda nie idzie z tym w parze lekkość pióra). Niemała objętość książki pozwala odnieść się do wielu zagadnień omawianych dotąd w Polsce mało, wcale lub bałamutnie. Nie oznacza to, oczywiście, że brak jej wad, które postaram się tu omówić.

Pierwsze, co rzuca się w oczy, to nadużywanie przez Margolina (a także przez Yvesa Ternona, autora przełożonego z francuskiego wstępu) słowa „ludobójstwo”; w książce odnieniane jest ono przez wszystkie przypadki, nigdy za to nie jest definiowane. Autor raz używa go w znaczeniu potocznym — „potworna zbrodnia wojenna, którą chcemy napiętnować jako gorszą od jej podobnych” — a raz wikła się w długie i jałowe rozważania, dlaczego III Rzesza popełniła ludobójstwo, zaś cesarska Japonia nie. Kto nie wie, czego szuka, ten nie może znaleźć.

Jeszcze o wstępie: zabawne jest stwierdzenie Ternona, że Hirohito po objęciu władzy w Japonii „ustanowił swoistą *polikrację*, przez co stawał się [...] najwyższym sędzią” (s. 12). Biorąc pod uwagę zakres rzeczywistej władzy Hirohito, nie odważyłbym się twierdzić, że cokolwiek on wówczas „ustanowił”; raczej ustalił się pewien *modus vivendi* między

niedoinformowanym cesarzem, przekonanym, że jako monarcha konstytucyjny musi postępować zgodnie z demokratycznie wyrażoną wolą narodu (jak w Wielkiej Brytanii, gdzie monarcha nadal formalnie „wyznacza” premiera i ma prawo wetowania ustaw), a „grupami trzymającymi władzę”, czyli począwszy od lat 30. różnymi wojskowymi frakcjami. Będzie o tym mowa dalej.

Wstęp samego Margolina (s. 15–30) pokazuje omówione już przyczyny europejskiej niewiedzy o azjatyckim teatrze wojennym, ale również — jak określa to sam Autor — *hipermnezji* (nadpamięci) w krajach takich, jak ChRL i obie Koree. Celnie stwierdza, że historycy japońscy bynajmniej nie są z założenia nieobiektywni, jak niekiedy uznaje się na Zachodzie (mniej celne jest wyśmiewanie się z twierdzeń, że historycy i politycy mówiący o zbrodniach armii japońskiej bywają zastraszani przez ekstremistów — s. 432). Omawia ponadto (mętnie) założenia pracy oraz problemy badawcze i charakter źródeł. Nie sposób przy tym nie zwrócić uwagi na pojawiające się przy okazji wyjątkowo dziwaczne stwierdzenie, jakoby „napięcie na linii Chin — Tajwan” miało swoje źródło w „naglej i źle przeprowadzonej dekolonizacji wynikłej z klęski Japonii” (s. 23). A ja myślałem, że w wojnie domowej w Chinach.

Rozdział pierwszy (s. 31–70) omawia źródła postępowania armii i polityków w czasie wojny, w tym również okrucieństwa żołnierzy. Słuszny jest zwłaszcza nacisk na bezsens tłumaczenia go „kulturą samurajską”, pokazując, że dwudziestowieczna wizja *bushido* była raczej zwyrodnieniem niż kontynuacją tzw. samurajskiego ducha. W wojnach z Chinami (1894–1895), Rosją i Niemcami Japończycy na ogół wykazywali daleko posunięty humanitaryzm, choć w sytuacjach ekstremalnych zdarzały się masakry. Dotyczyły one raczej Chińczyków niż Europejczyków (tymi pierwszymi powoli zaczęto pogardzać za bezradność ich armii) i tłumaczono je na ogół cudzym „barbarzyństwem”; nie było to jednak nic, czego nie zrobiłaby w owym czasie typowa armia zachodnia wobec „dzikusów”. Szkoda, że Autor nie porównał zachowania różnych armii tłumiących „powstanie bokserów” — mogłoby to doprowadzić do ciekawych wniosków. Ów rasizm, nieodbiegający specjalnie od dominujących wówczas na Zachodzie tendencji, został wzmocniony dwoma stymulującymi się wzajemnie procesami: aplikowaniem społeczeństwu potężnej dawki ksenofobii przez przejmujące coraz większą część władzy wojsko oraz zmianą pokoleniową w tymże wojsku. Oficerowie wychowani w czasach „rewolucji Meiji”, którzy w znacznej mierze wynieśli z domu etos wojownika, a szlify zdobywali w wojnach domowych z przeciwnikami przestrzegającymi tych samych reguł, zastępowani byli absolwentami nowych szkół wojskowych, szkolonymi z sadystyczną brutalnością i w niechęci do samodzielnego myślenia, często chłopami znającymi kodeks *bushido* jedynie w jego zwulgaryzowanej wersji.

Abyśmy nie nabrali jednak zbyt dużego zaufania do przenikliwości Autora, wypowiada się on równie pewnie na tematy, o których nie ma pojęcia, np. o boskości cesarza: „W dawnej administracji japońskiej istniało coś w rodzaju spisu bogów; naliczono ich około 2 milionów. W byciu bogiem nie ma więc niczego szczególnego” (s. 43). *Kojiki* to nie jest „spis bogów w administracji japońskiej”, tylko kronika z VIII w., „bogów” nie wyliczano tam enumeratywnie i nie było ich (według tego źródła) dwa miliony, lecz osiem, przy czym „osiem milionów” zapisano znakami, których podstawowe znaczenie to „niezliczona ilość”. Przede wszystkim jednak Margolin nie rozumie pojęcia *kami*, którym określano wszelkie istoty ze świata nadprzyrodzonego, od najpotężniejszych bóstw (choćby Amaterasu) po duchy przodków i herosów, **nigdy** jednak nie szło o osobę żyjącą — taka mogła być opętana przez *kami*, ale sama nim nie była. Jedyne wyjątek stanowił cesarz właśnie jako potomek wspomnianej Amaterasu.

Autor regularnie pisze „Kościoły” o buddyzmie i shintoizmie, tytułując np. cały podrozdział „Kościoły na pomoc mieczowi” (s. 53). To nadużycie semantyczne; zwłaszcza o poszczególnych szkołach buddyzmu w Japonii można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że były zorganizowanymi wspólnotami wiernych.

Błędy historyczne też się zdarzają. Pisząc o odcinaniu przez żołnierzy nosów Koreańczykom podczas wojny 1592–1598 r., Margolin stwierdza: „Grób” tych nosów (od 100 do 200 tysięcy sztuk) w świątyni Hokoji w Kioto stanowi nadal turystyczną atrakcję”. W Kioto znajduje się *Mimizuka*, tzn. „Kurhan Uszu”, a nie nosów. Jest ich tam, o ile wiem, około 38 000 par, czyli dwa razy tyle sztuk, a nie 200 000. Budowla ta, stworzona w 1597 r., znajduje się na wzgórzu w okolicach świątyni, a nie w niej, co byłoby zresztą niemożliwe, gdyż ta ostatnia została w 1596 r. całkowicie zniszczona przez trzęsienie ziemi i odbudowana dopiero kilkanaście lat później. Może autorowi pomyliła się *Mimizuka* z „grobem nosów” znalezionym w 1983 r. koło Osaki, nosów tych było jednak tylko 20 000, a do tego nie uczyniono z nich atrakcji turystycznej, lecz zwrócono Korei Południowej w celu skremowania.

Badając postawy społeczeństwa japońskiego wobec wojny, Margolin słusznie kładzie nacisk na jego analizę kulturową i społeczną. Wszelako analiza antropologiczna, którą „przeprowadza”, to jakiś zupełny belkot. Za swój cel Autor stawia sobie przedstawienie „strefy cienia, która tkwi — w różnym natężeniu — w każdym Japończyku i która obejmowała swoim zasięgiem ogromną część Azji” (s. 67). Ja też nie wiem, o co chodzi. Może o to, że „zobowiązania, wynikające z poszanowania rozlicznych obowiązków, wystarczają generalnie do odrzucenia czasu, przestrzeni i problemów, jeżeli ma to dowieść poczucia japonizmu” (s. 68)? Tego rodzaju zdania — potworami Margolin skutecznie zamotał rzecz absolutnie podstawową, to znaczy fakt, że w społeczeństwie japońskim (i wielu innych w Azji) człowiek identyfikował się jako członek *grupy* dużo bardziej niż na Zachodzie, coraz bardziej ceniącym sobie indywidualizm. Z uroczym europocentryzmem Autor zapewnia przy okazji, że w Japonii „żadnym stygmatem nie obejmuje się różnych postaci seksualności, nawet zachowań dewiacyjnych” (s. 68). Jedyne wartościowe fragmenty omawianego podrozdziału to cytaty z Ruth Benedict.

Rozdział drugi (s. 71–98) ma pokazać proces narastania nastrojów wojennych w Japonii od „rewolucji Meiji” do 1937 r. To się udało, natomiast Autor popełnił tu i ówdzie błędy dotyczące kontekstu międzynarodowego tych przemian. Prezydent Wilson został niezgodnie z prawdą przedstawiony wręcz jako japonofil. Zupełną bzdurą jest twierdzenie ze strony 81: „[Wilson] wysłał też na rosyjski Daleki Wschód 7 tysięcy ludzi u boku 70 tysięcy Japończyków [...] pod pretekstem pilnowania składów broni pozostawionych tam przez Rosjan w czasie rewolucji i zapewnienia repatriacji czeskich jeńców wojennych”. Z przypisu z tejże strony dowiadujemy się, iż „Wilson uniemożliwił w ten sposób interwencję na dużą skalę państw ententy, skierowaną przeciw bolszewikom, której domagała się Francja”. Tzn. wojska gen. Gravesa wysłano na rosyjskie Przymorze, żeby blokować francuski desant we Władywostoku? „Repatriacja czeskich jeńców wojennych” to bardzo eufemistyczne określenie na odyseję Korpusu Czechosłowackiego, który był zresztą oficjalnym sojusznikiem ententy, więc nie ma mowy o „pretekście”. Prezydentowi szło poza tym nie o wspieranie Japończyków, ale właśnie o zablokowanie ich planów zdobywczych, toteż oddziały amerykańskie (i brytyjskie) nie tylko nie współdziałały z armią gen. Otaniego, ale wręcz sabotowały jej działania, dogadując się nawet z lokalnymi bolszewickimi watażkami<sup>1</sup>. Wycofanie

<sup>1</sup> Na temat „ekspedycji syberyjskiej” zob. J. Polit, *Japonia, Anglosasi i interwencja na Syberii (1917–1925)*, w: idem, *Smutny kontynent. Z dziejów Azji Wschodniej w XX w.*, Kraków 2002, s. 11–29.

się Japończyków z tych terytoriów także nastąpiło na skutek nacisków Amerykanów (ale już później). Nie wiedzieć skąd Margolin wziął twierdzenie, że w wyniku wspomnianej ekspedycji syberyjskiej „Japonia zdołała się na stałe utrzymać jedynie na północy Sachalinu, zajętego w 1925 r., gdzie prawa połowu i eksploatacji kopalń zostały utrzymane aż do 1945 r.” (s. 84). Mogłoby się wydawać, że w 1925 r. Japonia odebrała ZSRR Sachalin Północny, a było odwrotnie. Skoro o geografii mowa: „Tokio zdołało wreszcie narzucić ówczesnemu rządowi chińskiemu [Duan Qirua w 1918 r.] traktat o wzajemnej obronie, który zapewniał japońskim oddziałom swobodę poruszania się po głównej części terytorium Chin” (s. 81). Chodziło nie o „główną część terytorium Chin”, tylko o półwysep Shandong oraz tak zwaną Strefę Kolei Mandzurskiej. Z błędnych założeń biorą się złe wnioski: „W listopadzie 1918 r. Japończycy dysponowali garnizonami od jeziora Bajkał po Mikronezję, w poprzek zachodniej [*sic!*] części Chin” (tamże). Premier Giichi Tanaka nie zamierzał „oderwać Mandżurii i Mongolii Wewnętrznej od Chin”, lecz zapewnić im praktyczną niezależność od rządu w Pekinie, utrzymując tam wpływy japońskie, ale i formalne chińskie zwierzchnictwo (s. 86). Na stronie 87 Margolin twierdzi, że rząd Czang Kaj-szeka nie wprowadził do walki w Mandżurii w 1931 r. swych elitarnych dywizji, gdyż te walczyły z komunistyczną partyzantką Mao Zedonga. W rzeczywistości szło o uniknięcie wojny na pełną skalę, która musiałaby oznaczać totalną klęskę Chin. Liczono ponadto na pomoc Ligi Narodów. Za to kiedy w 1937 r. Czang wreszcie zdecydował się na walkę, uczynił to, wg Margolina, „zainspirowany przez wspólny z komunistami front” (s. 90). Kto jak kto, ale współautor *Czarnej księgi komunizmu* powinien wiedzieć, co obie strony myślały o wspomnianym froncie. „Londyn pod japońskim naciskiem zaakceptował [w 1939 r.] zrzeczenie się praw do swej obecności w Północnych Chinach” (s. 89). Nie było żadnej obecności Londynu w Północnych Chinach. Pakt Japonia-ZSRR z 13 IV 1941 r. był paktem o neutralności, a nie o nieagresji (s. 94).

Rozdział trzeci (s. 99–144) zatytułowany „Cesarski faszyzm?” rozbawia przede wszystkim swoją konkluzją. Margolin, analizując dość rzetelnie japoński system polityczny i przyświecające mu cele, dochodzi do słusznej konkluzji, że nie pasuje do niego definicja słowa „faszyzm”, wnioskuje więc, by... poszerzyć definicję tak, aby Japonia okresu wojny jakoś się w niej zmieściła (s. 126). Nie wiem, czemu ma to służyć, chyba tylko temu, żeby móc wrzucić do worka z napisem „faszyzm” całą Oś. Poza tym jednak jest tu sporo cennych refleksji na temat ewolucji państwa japońskiego, życia podczas wojny i kolonialnych w charakterze rządów na Tajwanie i w Korei.

Rozdział czwarty (s. 145–184) omawia przyczyny przemocy w okresie wojny, w tym wobec jeńców. Niestety, całość ma charakter dość chaotyczny, na poły eseistyczny i nie wyczerpuje całości zagadnienia. Cenne są natomiast refleksje nad charakterem *kamikaze*, w których Autor wykazuje, że często nie byli to ani tępi zupacy myślący kategoriami ideologicznymi, ani też ludzie pragnący „umrzeć za cesarza”; ich zachowanie wynikało przede wszystkim z wspomnianego już systemu identyfikacji przez przynależność grupową. Wybierali śmierć za kraj (bardziej kraj niż władzę), ponieważ dla tchórz i tak nie było w nim życia. Ważnym składnikiem analizy z tego rozdziału jest porównanie podobieństw i różnic między traktowaniem wrogów, także gdy ci stawali się jeńcami, przez Japończyków i Anglosasów.

Autor chyba jednak sedna, gdy z werwą forsuje stanowisko, że rasizm miał mniejszy wpływ na poczynania żołnierzy i władz amerykańskich, niż się to opisuje. Argumentacja, z którą polemizuje Margolin (a z którą się zgadzam), stwierdza, że np. o ile rządy krajów anglosaskich konsekwentnie twierdziły, iż nie walczą z Niemcami, ale z nazizmem, nie było takiego rozróżnienia w przypadku Japonii. Na plakatach propagandowych pokazujących „wroga” widniał Hitler, Mussolini i bliżej niezidentyfikowany Japończyk. Margolin tłumaczy

to „brakiem zorganizowanej opozycji w Japonii” oraz wsparciem emigracji niemieckiej dla rządu USA. Ale przecież propaganda Czang Kaj-szeka (choć wskutek działań Japonii Chiny poniosły o wiele większe straty niż Stany) konsekwentnie twierdziła, że Chińczycy walczą nie z Japonią, a z „japońskim militarizmem” i po odebraniu Cesarstwu podbitych przezeń terenów należy pozwolić „przebudzonemu i skruszonemu” narodowi japońskiemu, aby ten rządził się sam. Jak widać można było. Omawiając na stronie 182 sprawę internowania w 1941 r. Amerykanów japońskiego pochodzenia przez administrację Roosevelta, Margolin zapewnia, że „sprawa ta dotyczyła wyłącznie zachodniego wybrzeża USA, w dodatku w okresie, gdy flota japońska zdobyła tymczasową przewagę na Pacyfiku”. Nie podzielam jego pewności, że „nie względu rasistowskie miały tu znaczenie”. Szło najprawdopodobniej o uspokojenie społeczeństwa, mniemającego (bezsensownie) że po Hawajach następnym japońskim celem będzie Kalifornia, niemniej jednak fakt pozostaje faktem: uwięziono około 140 000 ludzi wyłącznie na podstawie kryteriów etnicznych i bez postawienia jakichkolwiek zarzutów.

Rozdział piąty (s. 185–234) jest w całości poświęcony osławionej masakrze w Nankinie w 1937 r. Od razu na początku Margolin sugeruje, że w armii japońskiej nie było „dobrych” i „złych” dowódców, bo cała „elita władzy” zgadzała się ze sobą, co najwyżej waśniąc się o wpływy i priorytety militarne (s. 190). Zasadniczą wartość takiego stanowiska omówię później, dodam tylko, że błędem jest utożsamianie „elity władzy” — to jest rządowej junty — z dowództwem wojskowym. Wysłanie na front potrafiło wręcz stanowić formę pozbycia się z Tokio tych dowódców, którzy byli zbyt krytyczni wobec wojny jako takiej. Na stronie 192 Autor podważa szacunki Iris Chang dotyczące pogromu nankińskiego, twierdząc, że liczba 200–300 tysięcy ofiar podawana przez tę autorkę nie jest możliwa, skoro w przededniu upadku miasta liczbę cywilów, którzy w nim pozostali, szacowano na około 250 tysięcy (Chang szacuje ich na 500–600 tysięcy, wliczając dezertersów z armii). Powołuje się na przykład innych wielkich miast regionu, takich jak Suzhou, w których mieszkały setki tysięcy ludzi, ale większość z nich uciekła przed Japończykami.

Nie wiem, kto w tym sporze ma rację, uważam jednak, że Margolin winien wziąć pod uwagę następujące fakty: a) liczenie mieszkańców w przededniu upadku miasta w warunkach kompletnej dezorganizacji nie daje raczej zbyt wiarygodnych danych, b) wiadomo, że liczni żołnierze armii chińskiej dezertowali i mieszały się z ludnością miejscową, c) Nankin był **stolicą** i dość silną twierdzą — jest całkiem prawdopodobne, że właśnie tam kierowała się część ludności ze wspomnianych wielkich miast, d) krótko przed decyzją o zaprzestaniu oporu spalono przedmieścia Nankinu, których mieszkańcy napłynęli w obręb murów miejskich. Na stronie 200 Autor pisze o „zaskakującej” bierności rozbrojonych wojsk chińskich, tłumacząc ją dezorientacją po przegranej bitwie oraz ucieczką oficerów. Nie bierze pod uwagę, że wojska te składały się w znacznej części z ludzi wcielonych przymusem, często niepiśmiennych chłopów liczących sobie nawet 13–14 lat i nierozumiejących celów wojny (wieś chińska najzwyczajniej w świecie kierowała się patriotyzmem lokalnym, nie ogólnokrajowym); po cudzej armii nie spodziewali się o wiele lepszego losu niż po własnej. Pokazuje to przy okazji różnicę między tego rodzaju oddziałami a elitarnymi dywizjami chińskimi, które, jak stwierdza sam Margolin, były się o Nankin (póki ich nie wycofano na zachód) z zaciętkością nie mniejszą niż japońska.

Nie wiedzieć czemu Autor zapewnia, że opisy mordów w Nankinie uwzględniające m.in. „topienie w lodowatej wodzie” (rzecz miała miejsce w grudniu) są „wyraźnie produktem płodnej wyobraźni Chińczyków” (s. 208). Podobne wątpliwości budzi odrzucenie tezy, że morderstwa i gwałty w Nankinie były inspirowaną przez władze z Tokio akcją mającą złamać ducha oporu Chińczyków; pewność Autora, że nie jest to prawda, jest odwrotnie proporcjo-

nalna do liczby jego argumentów. Równie nieudokumentowane jest przypisanie kluczowej roli w całej zbrodni generałowi Matsui, który przybył na miejsce cztery dni po rozpoczęciu rzezi i bynajmniej nie należał do najdrapieżniejszych „jastrzębi” w armii (s. 228–231).

Rozdział szósty (s. 235–284) opatrzony tytułem „Długa smuga krwi” przedstawia stosunek armii japońskiej do przeciwników w „ponankińskim” okresie wojny. Obszernie omawiane są brutalne represje wobec partyzantów na wszystkich teatrach działań wojennych, a także pozostająca w cieniu Nankinu równie okrutna masakra w Manili po powstaniu z roku 1945 (trzeba jednak wziąć pod uwagę, że nastąpiła ona w efekcie powstania właśnie, a nie, jak w Nankinie, w poddającym się mieście pełnym bezbronnych cywilów i odrzucających broń żołnierzy). Uzupełniają to szokujące opisy japońskich eksperymentów na ludziach w Pingfan (których sprawców nie spotkała za to żadna kara), a także wzmianki o konfliktach etnicznych wśród podbitych ludów, wykorzystanych przez armię cesarską do inspirowania masakr. Ten temat został jednak potraktowany po macoszemu, podobnie zresztą jak cała kwestia współpracy poszczególnych narodów azjatyckich i ich przywódców z Japonią, także na poziomie współpracy żołnierzy japońskich i np. birmańskich lub indyjskich (z Indyjskiej Armii Narodowej). Poświęcono temu w całej książce dwie strony (s. 124–125) w rozdziale o systemie politycznym (i kilka wzmianek rozsianych po innych rozdziałach), a i to w celu przedstawienia propagandy tegoż systemu skierowanej na zewnątrz. Aung San czy Subhas Chandra Bose pojawiają się jedynie w przypisach, co jest ewidentnym brakiem opisywanej publikacji. Nie podjęto też najmniejszej próby odpowiedzi na pytanie, czy w jakimś stopniu — i wobec kogo — owa propaganda przekładała się na rzeczywistość, tak na szczeblu władz, jak i zwłaszcza żołnierzy i oficerów mających bezpośredni kontakt z „sojuszniczymi” armiami. Budzi zdumienie brak refleksji nad postacią Kanji Ishiwary, który w „braterstwo narodów Azji” wierzył, jak się zdaje, szczerze.

Odrębną kwestią pozostaje pytanie, czemu Margolin, w poprzednim rozdziale weryfikujący szacunki statystyczne z benedyktyńskim zacięciem, tu bez żadnego krytycznego komentarza przytacza dane, jakoby w roku 1943 „komuniści [chińscy] wyeliminowali tysiąc Japończyków i nie mniej niż 30 tysięcy kolaborantów” (s. 257). Chciałbym zobaczyć ich źródło.

Rozdział siódmy (s. 285–320) opisuje traktowanie jeńców wojennych przez armię cesarską, w tym osławiony „marsz śmierci” na Bataanie, oraz cieszącą się nie lepszą sławą budowę kolei Birma–Tajlandia. Jest to jeden z lepszych fragmentów książki, poparty licznymi statystykami oraz konfrontujący różne relacje jeńców. Towarzyszy mu ogólna analiza sensu istnienia obozów jenieckich, łącznie z podstawowym pytaniem badawczym: czy chodziło o wyniszczenie jeńców, czy o konkretne efekty pracy niewolniczej i czy reguły gry ustalało tu Tokio, czy dowódcy lokalni?

Rozdział ósmy (s. 321–350) omawia z kolei los internowanych w obozach cywilów i jest równie dobry, jak poprzedni. Pokazuje on m.in. odmienną traktowania kobiet i mężczyzn oraz różnice między różnymi obozami, podaje jedyny znaleziony przez Margolina przykład „dobrego” komendanta takiego obozu, a wreszcie przytacza liczne relacje. Osobny i bardzo ciekawy podrozdział poświęcony położeniu Żydów w Imperium Wschodzącego Słońca przynosi sporo informacji paradoksalnych. Mimo sojuszu Japonii z III Rzeszą prześladowań na tle rasowym doznawali oni głównie ze strony... „białych” emigrantów rosyjskich w Mandżurii. Przybywanie Żydów z Europy do domen japońskich w Azji zostało, jak się okazuje, wstrzymane w 1939 r. nie na prośbę III Rzeszy, lecz istniejących tam żydowskich gmin, niemających ochoty brać na siebie ciężaru utrzymania i integracji przybywcy. Jedynym chyba echem lektury *Mein Kampf* przez dowódców japońskich był podział obozu Tanggerang (dla inter-



nowanych) na Jawie: jedną połowę przeznaczono dla chrześcijan, w drugiej umieszczono... Żydów i masonów.

Rozdział dziewiąty (s. 351–394) opisuje ekonomiczną eksploatację terenów podbitych przez Japonię (wliczając też Tajwan i Koreę) oraz obracanie jego mieszkańców w „neoniewolników”. Jest on napisany dość wnikliwie, choć — jak już wspomniano — abstrahuje od położenia i dążeń lokalnych sojuszników japońskich. Bywało i tak, że „dobrowolne” kontrybucje wymuszane od danych ludów finansowały wysiłek zbrojny lokalnej armii innej grupy etnicznej (np. Indyjskiej Armii Narodowej). Margolin nie zastanawia się też, czy ludności w krajach, gdzie rządy „kolaboranckie” były w jakiejś mierze autentycznymi reprezentantami narodu (mowa tu przede wszystkim o Birmie), nie traktowano nieco inaczej niż na terytoriach mających się stać japońskimi koloniami. Ważny i wnikliwy podrozdział o koreańskich (i nie tylko) *comfort women* pokazuje, że nie było to zjawisko jednorodne: obok kobiet osadzonych siłą w burdelach i gwałconych przez dziesiątki żołnierzy mamy luksusowe „pocieszycielki” świadczące swe usługi na umowy o pracę i dorabiające się niekiedy sporych pieniędzy (co prawda oszczędności te zjadła niemal w całości powojenna inflacja). Margolin słusznie przypomina, że część winy należy przypisać Koreańczykom organizującym handel kobietami, porywającym je do burdeli, a bywało, że i sprzedającym własne córki.

Krótki rozdział dziesiąty (s. 395–410), zatytułowany chwytliwie „Zniewolenie na co dzień”, opisuje środki stosowane przez okupantów do kontroli podbitej ludności, zwłaszcza cztery: organizacja systemu wzajemnego donosicielstwa, przebudowa miast celem ułatwienia życia armii, propagowanie japońskiej kultury i języka oraz narkotyków. Gdyby jeszcze Margolin oparł się pokusie przeprowadzenia wysoce uproszczonej paraleli między tym ostatnim a współczesnymi postulatami posiadania niewielkiej ilości narkotyków w ramach tzw. „dozwolonego użytku”...

Rozdział jedenasty (s. 411–450) poświęcony jest pokłosiu wojny w Japonii. O ile fragmenty o tzw. przebudowie są raczej powierzchowne i mało wartościowe, to dość głęboka jest analiza „procesu tokijskiego” sądzącego zbrodniarzy wojennych (o jej głównej wadzie dalej). Ponadto sporo miejsca poświęcono stosunkowi Japończyków do ich wojennej przeszłości. Generalnie Margolin ma sporo racji, twierdząc, że chodzi tu nie o jej rozgrzeszenie, lecz o koncentrację na przyszłości przy jednoczesnym zerwaniu z przeszłością. Dość wyraźne jest (negatywne) wartościowanie moralne takiej postawy przez Autora; warto jednak na uboczu niniejszej recenzji zadać pytanie, czy i jak długo synowie oraz wnukowie powinni przeproszać za grzechy ojców. Powinni je wszelako znać, a z tym, jak słusznie stwierdza Margolin, jest krucho, nie tyle ze względu na kontrowersyjne treści w niektórych podręcznikach szkolnych, ile na nikłą rolę historii w szkołach.

Znakomity jest rozdział dwunasty i ostatni (s. 451–488), przedstawiający stosunek do pamięci o wojnie w krajach będących ofiarami japońskiego militarizmu. Ciekawy jest przykład Korei Południowej, gdzie z błogosławieństwem partii rządzącej w Internecie pojawiły się koreańskie odpowiedniki „listy Wildsteina” dotyczące kolaborantów z czasów okupacji japońskiej, a uchwalone w 2005 r. (*sic!*) prawo nakazuje ściganie tych ostatnich<sup>2</sup>. Margolin przytacza ponadto przykłady mrozących krew w żyłach opowieści o „okupacyjnym terrrze”, które przy bliższej analizie okazują się znacznie przesadzone, niewątpliwie ze względu na zapotrzebowanie społeczne. Generalnie jest to interesujący przyczynek do (znanego też

---

<sup>2</sup> Co prawda nie wiem, czemu Margolin dodaje w przypisie, że pierwszy z tych faktów świadczy na niekorzyść możliwości zastosowania Internetu we wdrażaniu demokracji bezpośredniej, ale zostawmy te wątpliwe dygresje.

skądinąd) procesu radykalizacji „pamięci historycznej” w miarę upływu czasu. Inna rzecz, że Autor nie wiąże tego z pewnym drobiazgiem: Korea Południowa zdemokratyzowała się mniej więcej w tym czasie co Polska — pod koniec lat 80. — i wolność wyrażania opinii przez dość długi czas po wojnie była tam reglamentowanym dobrem.

Nie mniej ciekawe są podrozdziały o Chinach i politycznym użytku czynionym z rachunku krzywd wystawianego Japonii (choć, jak słusznie zauważył Mao, bez agresji japońskiej na Chiny komuniści nigdy nie objęliby w nich władzy) oraz o Korei Północnej, której społeczeństwo żyje w przekonaniu, że ono i tylko ono zadało w II wojnie światowej klęskę Cesarstwu. Książkę wieńczy krótkie i celne zakończenie (s. 489–498).

Obok wad pracy wskazanych przy analizie kolejnych rozdziałów wymienić trzeba jeszcze jedną. Autorowi brak jakiegokolwiek krytycyzmu wobec kontrowersyjnej pracy Herberta Bixa<sup>3</sup>, jedyne przywoływanie w przypisach dzieła z zakresu historiografii mającej przewartościowywać rolę cesarza Hirohito. Wizerunek cesarza nieinformowanego o niczym przez wojskowych, który nie ma bliskich i wiernych sobie doradców, będących jednocześnie znawcami spraw wewnętrznych (w tym dotyczących wojny), ani realnego wpływu na bieg zdarzeń, został określony mianem „prawomyślnych bajek” (s. 422). Prawdę poznajemy z tego, co „mówi się dziś” (tamże) i, oczywiście, z Bixa. Margolin nie bierze pod uwagę opisywanego przez siebie incydentu z 1930 r., kiedy mimo stanowczego zajęcia stanowiska przez Hirohito nie doszło do procesu zabójców Zhang Zuolina, co jest znamieną wskazówką, ile cesarz rzeczywiście mógł. Zakłada też, że cesarz był świetnie poinformowany o wszystkim, co dzieje się w kraju i za granicą, „przez adiutanta cesarskiego, wielkiego szambelana, ministra domu cesarskiego, a przede wszystkim strażnika prywatnej pieczęci” oraz „pośredników między nim a dowódcami wojskowymi i urzędnikami cywilnymi”. Logika podpowiadałaby, że pośrednicy między cesarzem a dowódcami wojskowymi w instytucji takiej, jak armia japońska, nie są specjalnie obiektywnymi źródłami wiedzy. Minister domu cesarskiego też nie.

Margolin dodaje, że „siedzibą cesarskiej kwatery głównej, koordynującej lepiej lub gorzej poczynania armii i marynarki, był pałac” (s. 103). Bo od czasu do czasu przychodzili tam dowódcy składać raporty według archaicznego ceremoniału, według którego cesarz nie powinien ich w ogóle komentować?

Na temat postawy cesarza po wojnie Autor wręcz zmyśla. Strona 428 przynosi informację, że Hirohito „nigdy nie uznał żadnej swojej winy”. Tymczasem już pierwsze zdanie, jakie usłyszał od niego w 1945 r. przybyły jako administrator z ramienia USA generał MacArthur, brzmiało: „Przyszedłem do pana, generale, by poddać się osądowi mocarstw, które pan reprezentuje, gdyż jestem jedynym, na którym spoczywa odpowiedzialność za wszelkie decyzje militarne i polityczne oraz za działania podjęte przez mój lud w okresie wojny”<sup>4</sup>. Wyrzucając cesarzowi, że nie wyraził żadnego żalu podczas wizyty w Wielkiej Brytanii w 1971 r. (s. 435), Margolin nie podaje przyczyny tego faktu: był nią zakaz ze strony rządu, interpretującego bardzo wąsko zakaz wystąpień publicznych monarchy. Żal wyraził za to podczas wizyty na Okinawie, o czym zresztą Autor nie wspomina (może nie było o tym mowy w „historiografii ukazującej dzisiaj odmienny obraz przywódcy”)? (s. 104).

Również na podstawie Bixa Margolin zapewnia, że „od lutego 1936 r. do lipca 1945 r. panowała niemal doskonała zgodność na poziomie elit u władzy na poziomie zasadniczych celów strategicznych: ekspansjonizmu, odwołania się do siły w razie napotkania przeszkód i całkowitej mobilizacji ludności w tym celu w charakterze posiłków” (s. 190). Było do-

<sup>3</sup> H. Bix, *Hirohito and the making of Modern Japan*, London 2000.

<sup>4</sup> Cyt. za: J. Polit, *Hirohito, cesarz Showa (1901–1989)*, w: idem, *Smutny kontyent*, s. 191.

kładnie odwrotnie: elity te starały się, mając za sojuszników rzesze skrajnych nacjonalistów, pozbyć przeciwników tych celów, wysyłając ich na front albo odsuwając od władzy w inny sposób, nie cofając się nawet przed zamachami. Nie trzeba szukać daleko — przykładem sam Isoroku Yamamoto, a także jego sojusznik z rządu, Mitsuśmasa Yonai (o tym ostatnim nie ma w książce ani słowa). Kanji Ishiwara też niespecjalnie do tego schematu pasuje. Nawiasem mówiąc, kreując wizję homogenicznych elit wojskowych, Margolin nie wspomina, że właśnie Ishiwara regularnie i publicznie opowiadał się przeciw wojnie z Chinami i mocarstwami anglosaskimi oraz wzywał do procesu i egzekucji Tojo za sygnowanie jej swoim poparciem — za co zresztą nie spotkały go żadne represje.

Jak widać z tego omówienia, struktura książki jest nieco chaotyczna: jak na opracowanie poświęcone (zgodnie z tytułem) wyłącznie różnorakim działaniom armii, jest ona zbyt obszerna, natomiast jak na kompleksową monografię polityki Japonii wobec wojska, wojny i podbijanych, ma z kolei znaczne braki. Przynosi jednak ogromną liczbę cennych informacji i formułuje wiele trafnych sądów, dla historyków jest niezłym wprowadzeniem we współczesny stan badań, a dla niespecjalistów w sam temat. Publikację tę zdecydowanie warto polecić, mimo wielu wad.

Liczba wad jest co prawda równie duża w wypadku wydania polskiego. Korekta wydawnictwa „Dialog” przepuściła niezliczone literówki oraz przedziwne odmiany nazwisk (np. „Ishii’ego”). Tłumaczkę podają nazwiska i nazwy chińskie a to w *pinyinie*, a to w transkrypcji Wade’a–Gillesa, a to w dziwacznych krzyżówkach dwóch powyższych (np. *Guomintang*). Przede wszystkim jednak posługują się kiepską polszczyzną, niekiedy dość znacznie wypaczającą sens oryginału, innym zaś razem budzącą wesołość przy lekturze fragmentów, które budzić powinny zupełnie inne odczucia.

Kwiatki tego rodzaju rzucają się w oczy od pierwszych stron. „Praktyka łańcuchowych dekapitacji” (s. 13) — czyli ścinanie głów łańcuchem? Oczywiście powinno być: *taśmowych*. Trudno o mniej fortunate określenie porównania brutalności mocarstw kolonialnych i Japończyków w Azji niż „gra luster ekstremalnych aktów przemocy” (s. 27). Oligarchia zgromadzona wokół cesarza Meiji miała ustanowić „silną armię zaciężną w oparciu o pobór” (s. 41), co pokazuje braki w elementarnej terminologii wojskowej (w książce o armii!). Strona 77 przynosi stwierdzenie „ksenofobiczne stowarzyszenie bokserów” (powstańców chińskich z 1900 r.). „Bokserów” nie ujęto tu w cudzysłów, a przecież nie chodzi o związek zawodowy protoplastów Tysona, lecz o parareligijny związek *Yihetuan*, czyli „Sprawiedliwych i zgodnych pięści” (w znaczeniu „ludzi”). Na stronie 86 Brytyjczycy i Amerykanie „zbombardowali Nankin [w marcu 1927 r.], w którym żołnierze związani z Guomintangiem<sup>5</sup> wzięli odpowiedzialność za cudzoziemców i ich przedsiębiorstwa”. „Wzięli odpowiedzialność” to ciekawe określenie na morderstwa i rabunki. Japonia, gdy pod koniec lat 30. rozwiąły się nadzieje na porozumienie z Czang Kaj–szekiem, „zdała się na swych przeciwników w łonie Guomintangu” (s. 90). Oczywiście chodzi o **jego**, czyli Czang, przeciwników — np. Wang Jingweia. „Upadek Francji [w 1940 r.]” (s. 94) to raczej kiepskie określenie na kapitulację. Zdanie o szkolnictwie w czasie wojny ze strony 130 zniekształcono po polsku straszliwie: „Licealistki mogły każdego ranka przed szkołą iść modlić się za zwycięstwo, a potem zatrudnić w korpusach sanitariuszek — do których ich nie przyjmowano”. Nie inaczej na stronie 135: „Pod koniec wojny zostało około 800 tysięcy ton okrętów zbyt uszkodzonych, na liczącą 6,4 mln ton flotę z 1941 r.”. Rekord absurdu pobiły tłumaczkę na stronie 202,

<sup>5</sup> Powinno być „Guomintang” (w transkrypcji *pinyin*) albo „Kuomintang” w utrwalonej transkrypcji Wade’a–Gillesa.

gdzie mowa o wymordowaniu w ciągu tygodnia 30–60 tysięcy żołnierzy chińskich przez Japończyków w Nankinie: „Ta liczba ofiar z całego tygodnia odpowiadałaby dziennej liczbie ofiar w Srebrenicy”. Biorąc pod uwagę, że w tej ostatniej zginęło 7 do 8 tysięcy ludzi, zdanie powinno oczywiście brzmieć odwrotnie: „Liczba ofiar z jednego dnia odpowiadałaby liczbie ofiar z całego tygodnia w Srebrenicy” (choć masakra w tej ostatniej miała miejsce generalnie między 13 a 16 VII 1992 r.)

Strona 253: „mniejszość hinduska [w Birmie] obawiała się Birmańczyków, którzy w latach trzydziestych XX w. zrobili przeciw nim kilka pogromów”. Równie niezgrabnie opisano przypadek pewnej niewolnicy seksualnej: „Maria Rosa Benson, zatrzymana w punkcie kontroli drogowej, została najpierw zgwałcona przez dwunastu żołnierzy, potem nadal **poniżano** ją codziennie od 14:00 do 22:00” (s. 382, podkreślenie moje).

A przecież właśnie Margolin uczy, że stosowanie eufemizmów w odniesieniu do przestępstwa potrafi się mścić.

Tomasz Flasiński  
Warszawa

Jonathan Fenby, *Chiny: upadek i narodziny wielkiej potęgi*, tłum. Jan Wąsiński, Jerzy Wolk–Łaniewski, Kraków 2009, Wydawnictwo Znak, ss. 980

Brytyjski dziennikarz Jonathan Fenby, w Polsce kojarzony głównie z popularnonaukową książką *Alianci*<sup>1</sup>, w krajach anglosaskich znany jest jako ktoś w rodzaju Normana Daviesa od kwestii chińskich. Jego nowa praca, odznaczająca się ogromnymi rozmiarami, również poświęcona jest tej kwestii, omawiając dzieje Państwa Środka od roku 1850 do 2006. Wypada pochwalić wydawnictwo „Znak” za decyzję przełożenia jej na język polski, w którym oprócz (z konieczności skromnego objętościowo) dzieła Jakuba Polita wydanego w serii „Historia Państw Świata XX w.”<sup>2</sup> tematyka ta nie doczekała się dotąd kompleksowego opracowania.

Autor koncentruje się głównie na historii politycznej i społecznej Chin, niekiedy dodając też wywody na temat ekonomii. Na marginesie jego pracy pozostaje natomiast historia kultury i wojskowości, a i politykę zagraniczną potraktowano ogromnie skrótowo. Kwestia tybetańska pojawia się tylko przy okazji wydarzeń w Chinach właściwych, a Autor jak ognia unika próby szerszego jej ujęcia — nie wiadomo, czy chce w ten sposób zamanifestować, że nie uważa Tybetu za część Państwa Środka, czy odwrotnie, obawia się reakcji chińskich czytelników na wgłębianie się w temat Krainy Śniegu. Niemniej jednak ilość podanych w książce informacji robi wielkie wrażenie. Baza źródłowa wykorzystana przez Fenby’ego jest ogromna: obok prasy, dokumentów i wspomnień zawiera większość liczących się publikacji w języku angielskim wydanych przez ostatnie półwiecze (a niekiedy również ich recenzje w periodykach naukowych). Ich szeroko zakrojona kompilacja pozwala patrzeć na książkę jako na swego rodzaju kompendium najnowszych wyników badań historyków anglosaskich w omawianej kwestii — rzecz nie do przecenienia, zważywszy, że większości z cytowanych dzieł nie sposób u nas znaleźć nawet w najlepszych bibliotekach.

<sup>1</sup> J. Fenby, *Alianci. Stalin, Roosevelt, Churchill. Tajne rozgrywki zwycięzców II wojny światowej*, Kraków 2007.

<sup>2</sup> J. Polit, *Chiny*, Warszawa 2004.

Zarówno atutem, jak i wadą pracy jest jej narracja. Tok wywodów jest bardzo żywy, książkę czyta się lekko i bez trudu, co przy prawie tysiącu stron stanowi zaletę nie do przecenienia. Z drugiej strony Autor — a bardziej jeszcze twórcy przekładu — wpada miejscami w nieznośnie irytującą potoczną manierę. Głównym problemem jest wszelako co innego. Poprzednią książkę Fenby’ego poświęconą Chinom, a mianowicie biografię Czang Kaj-szeka<sup>3</sup>, Jakub Polit w konkurencyjnej pracy podsumował celnie w następujących słowach: „Fenby, dziennikarz z zawodu i temperamentu, nie posiadał [...] umiejętności krytyki wykorzystywanych źródeł, na skutek czego ważne i często nowe informacje sąsiadują w jego książce z twierdzeniami dawno obalonymi oraz z wątpliwymi anegdotami”<sup>4</sup>. Słowa te równie dobrze odnieść można do najnowszej pracy brytyjskiego Autora. „Dziennikarski temperament” widać na każdym kroku: zbyt często rezygnuje się w narracji z całościowej analizy na rzecz niezliczonych szczegółów, samych w sobie bardzo ciekawych, ale nie pomagających w usystematyzowaniu wiedzy czytelnika. Z drugiej strony czasem wykorzystywany materiał skracany jest tak mocno, że przestaje być jasne, o co chodzi. Przykładem opis śmierci Yan Huizhu, szanghajskej śpiewaczki: „Przyprowadziła do niego [męża, Yu Zhenfeia — T. F.] jedenastoletniego syna. Obydwoje osunęli się na podłogę. O północy gwiazda szanghajskej opery powiesiła się na szynie nad wanną” (s. 611). O co chodzi z tą podłogą, domyślić się nie sposób, chyba że zajrzy się do szerszego opracowania: „[Yan Huizhu] spojrzała z powagą i smutkiem na jedenastoletniego Qingqinga i nagle powiedziała: «Mama udaje się gdzieś bardzo daleko. Pamiętaj, że teraz musisz zawsze słuchać taty». Potem poszła razem z synem do pokoju Yu Zhenfeia. Yan Huizhu upadła tam na kolana i namawiała małego Qingqinga, żeby także ukląkł. [...] Yu Zhenfei szybko podniósł oboje. Gdy Yan Huizhu wstała, powiedziała ze smutkiem: «Wychovej go, póki nie będzie dorosły». «Jeśli ja będę miał ryż do jedzenia, to on również» — odpowiedział Yu Zhenfei”<sup>5</sup>. Przytoczyłem ten fragment, by pokazać (bynajmniej nie ograniczoną do tego jednego przypadku) nieumiejętność Autora w streszczaniu wykorzystanych przezeń materiałów.

Także krytyczne podejście do cytowanych źródeł i opracowań nie jest mocną stroną Fenby’ego. Generalnie rzecz biorąc, widać to tym bardziej, im wcześniejszy okres Autor opisuje: można to zrozumieć o tyle, że druga połowa XX w. została w historiografii opisana nieporównanie lepiej niż pierwsza. Najwięcej niesprawdzonych informacji jest w pierwszej części pracy, dotyczącej schyłku dynastii Qing; Autor niezwykle często sięgał niestety do pracy Sterlina Seagrave’a, bardziej beletrystycznej niż naukowej<sup>6</sup>. Również jednak w następnych rozdziałach informacje prawie (lub całkiem) pewne sklasyfikowane są jako „oczywiste plotki”, a bardzo podejrzane pogłoski jako „niezwykle prawdopodobne”. Dotyczy to zwłaszcza cesarzowej-regentki Cixi, której liczne postęпки niebudzące raczej aprobaty historyków i czytelników ich prac Autor dezawuuje po kolei jako „propagandowe wymysły”. Dostało się za to Czang Kaj-szekowi oraz jego żonie Song Meiling.

W powyższych przypadkach Autor wyraża swoje oceny jedynie pośrednio. Niekiedy jednak równie kontrowersyjne są jego bezpośrednie komentarze na temat osób i wydarzeń. Na przykład na stronie 459 można się dowiedzieć, że wojska sowieckie pod pretekstem wspoma-

<sup>3</sup> J. Fenby, *Czang Kaj-Szek i jego Chiny*, tłum. J. Włodarczyk, Wrocław 2010 (wydanie oryginalne: 2005).

<sup>4</sup> J. Polit, *Pod wiatr. Czang Kaj-szek 1887–1975*, Kraków 2008, s. 12.

<sup>5</sup> Zhang Yihe, nieoficjalne tłumaczenie fragmentu książki *Past Stories of Peking Opera Stars*, cyt. za: <[http://www.zonaeuropa.com/20070204\\_2.htm](http://www.zonaeuropa.com/20070204_2.htm)> (dostęp: 23 XI 2011).

<sup>6</sup> S. Seagrave, *Dragon Lady: The Life and Legend of the Last Empress of China*, New York 1992.

gania sił Kuomintangu w odzyskiwaniu kontroli nad Mandżurią pozostały tam dłużej, niż było to ustalone, „w oczywistej próbie ujarznienia niepokornych maoistów”. Zapewne dlatego marszałek Malinowski nie zezwolił wówczas żołnierzom Czang Kaj-szeaka płynącym z południa zejść na ląd w Dalianie! Strona 506 przynosi zaś następujące stwierdzenie o wojnie w Korei: „Pomimo olbrzymich kosztów ludzkich Chińska Republika Ludowa nie była stratna na wojnie dzięki otrzymaniu najnowocześniejszego radzieckiego uzbrojenia, linii montażowych samolotów, a także gotowych sił powietrznych, które pod koniec konfliktu liczyły trzy tysiące maszyn”. Mniejsza o to, że liczbę poległych na wojnie Chińczyków Autor znacznie zaniżył (nie przytaczając żadnych źródeł, podaje ilość ponad dwa razy niższą niż najczęściej spotykana — ok. 900 tysięcy). Zastanawia natomiast, czy i w jakiej mierze Fenby świadomie parafrazuje *bon mot* Stalina o konflikcie koreańskim: „Północni Koreańczycy nie stracili na tej wojnie niczego oprócz ofiar w ludziach”.

Plagą pracy są nieścisłości i błędy faktograficzne, obecne zwłaszcza w pierwszej połowie (przykładem s. 332: Hilarego Noulensa określono mianem „polskiego agenta komunistycznego”, choć był on Ukraińcem noszącym prawdziwe nazwisko Jakob Rudnik). Ogromną pracę wykonała redakcja polskiego wydania, opatrując tekst ponad setką przypisów prostujących te omyłki. To wciąż za mało, jednak kompetentne uwagi redaktorów znacząco podnoszą wartość książki.

Niestety, nie można tego powiedzieć na temat pracy tłumaczy i korekty. Ta ostatnia nie tylko przepuściła pewną liczbę literówek, ale też konsekwentnie narzuciła błędną pisownię niektórych wyrazów (np. tytuł japońskiego cesarza występuje jako *temō* zamiast *tennō*). Trudno powiedzieć, komu z wyżej wymienionych zawdzięczamy osobliwą odmianę chińskich imion i nazwisk, sprzeczną z polskim uzusem (np. Bo Yibo — Bo Yibowi, Li — Liemu; nawiasem mówiąc, znaczną liczbę nazw własnych również przetłumaczono bez jakiegokolwiek względu na dotąd stosowane przekłady polskie, choć te były równie poprawne). O ile powyższe nie jest jednak błędem *sensu stricto*, inaczej rzecz się ma z kuriozalną odmianą nazwy Taipei: „w Tajpeju”.

Na tym nie koniec mało udanych pomysłów tłumaczy, z których objętość recenzji pozwala wymienić jedynie niektóre. Angielskie słowo *gentry*, którym umownie określa się w nauce lepiej sytuowanych chińskich posiadaczy ziemskich stanowiących elitę swoich prowincji, oddawane jest na przemian jako „ziemiaństwo” i „szlachta” — a czasem nawet „arystokracja” — choć w Chinach szlachty jako stanu w ogóle nie było. Passus o ochronie zdrowia na wsi chińskiej w czasach cesarstwa przełożono tak: „tamtejsza ludność opierała się na metodach ludowych i wiedzy szamanów” (s. 69); chodzi oczywiście nie o szamanów, ale o znachorów. Tajpingowie, wg strony 76, śpiewali, że nie wadzą im *hreczkosieje* (znani też jako *farmerzy* — s. 90), walczący z nimi podwładni Zeng Guofana byli za to *wybitnie chińskimi arystokratami* (s. 78 — chodzi o to, że wywodzili się z Chińczyków — Hanów). Nie mniej wybitnie chiński był fakt, że Zeng po zwycięstwie otrzymał tytuł „markiza pierwszej klasy z podwójnookim pawim piórem” (s. 87). „Ulice po kostki spływały krwią” (s. 88) to zupełny koszmarek, podobnie jak „pocieszna sylwetka z klapniętym wąsem” mająca cechować księcia Chuna (s. 104) albo fragment opisu nieudanego powstania w Hankou: „Tutejsze władze nakazały zamknięcie miejskich bram” (s. 105). Cesarz Guangxu na stronie 108 skazuje jednego z eunuchów na *pałowanie niemal zakończone śmiercią*, bo siłącym się na oryginalność tłumaczom nie wystarczała zwykła „chłosta” (nieumiejętne ubarwienie tekstu „synonimami” to jeden z większych problemów ich przekładu). Po śmierci cesarzowej Cixi „władza centralna i główne motory działania społeczeństwa znajdowały się na kursie kolizyjnym” (s. 187). Homer Lea, znajomy Sun Yatsena, został opisany jako człowiek „odziany w garnitur wyszy-

wany dużymi lśniącymi guzikami i orderami” (s. 200). Li Yuanhonga, jednego z prezydentów Republiki Chińskiej, „szczególnie przewyższał potencjał Duan Qirua” (s. 221), a jego (do czasu) poplecznik Zhang Xun dowodził „zdobnymi w warkocze żołnierzami” (s. 222). Konfucjańską cnotę *li* zdefiniowano jako „posłuszeństwo zasadom decorum” (s. 312 — choć równie dobrze może to być „osiągnięcie” Autora). Ranni żołnierze *stacjonowali* w lazaretach (s. 393). Komando zamachowców Dai Li w roku 1938 wbrew twierdzeniu tłumaczy zabiło nie sekretarkę, lecz sekretarza (i protegowanego) Wang Jingweia (s. 410). Po przejęciu przez Kuomintang władzy nad Mandżurią napłynęli tam *trefni geszefciarze* (s. 454). O koalicji stworzonej przez Mao Zedonga podczas wojny domowej lat 1946–1949 można przeczytać: „ukształtowany przez kult jednostki [...] polityczno–wojskowo–chłopski tercet sojusznicy przerodzi się w co prawda nieco tępe, lecz przy tym starannie wyważone narzędzie walki, na które nacjonaliści nie zdołają znaleźć odpowiedzi” (s. 466). Mao spłacał pomoc sowiecką *chłopskimi zaskórniakami* (s. 517). Deng Xiaoping namawiał towarzyszy partyjnych: „Nie bawcie się w puste szybolety” (s. 571).

Wszystko to niedaleko odbiega od słynnego „Bill zsiadł z konia, on to był bowiem” którym zachwycał się Tuwim. Są jednak i błędy dużo poważniejsze. Absolutny rekord niekompetencji tłumaczy: „W międzyczasie [w roku 1965 — T. F.] Pakistan, inny ważny chiński sojusznik, nie rozpętał wojny z Indiami, która w nadziei Pekinu miała doprowadzić do osłabienia pozycji New Delhi” (s. 589). Równie wymowny jest inny przykład niezrozumienia przez nich tekstu czytanego. Jak podaje Fenby za Emily Hahn, Czang Kaj–szek zrezygnował z prób posługiwania się angielskim, gdy (pomyliwszy zwroty w tym języku) powitał posła brytyjskiego słowami „Kiss me, Lampson”. Przypis tłumaczy stwierdza, że jest to „nawiązanie do ostatnich słów admirała Horatio Nelsona” (s. 294).

Mimo wszystkich powyższych zastrzeżeń dzieło Fenby’ego, najobszerniejsze z dostępnych na rynku i operujące szeroką bazą źródłową, jest dla historyków Chin i ogólnie Azji, a także dla wszystkich zainteresowanych czytelników, lekturą obowiązkową. Jego wartość podnoszą dobrej jakości ilustracje oraz kilka świetnych map. Książkę tę warto czytać uważnie i podchodzić z rezerwą do co bardziej sensacyjnych informacji, jej zalety przeważają jednak nad wadami.

Tomasz Flasiński  
Warszawa

Dariusz Tolczyk, *GULAG w oczach Zachodu*, Warszawa 2009, Prószyński i S–ka, ss. 344

Autor jest profesorem języków i literatur słowiańskich na amerykańskim University of Virginia. W 1999 r. opublikował książkę *See no Evil: Literary Cover–Ups and Discoveries of the Soviet Camp Experience* analizującą obraz Gułagu w oficjalnej literaturze i propagandzie sowieckiej.

*Gułag w oczach Zachodu* przynosi więcej, niż mogłoby wynikać z tytułu książki. Dariusz Tolczyk pisze nie tylko o sowieckich obozach pracy i więzieniach, ale o całym systemie społeczno–politycznym panującym w Rosji po 1917 r. i o tym, jak był on postrzegany w wolnym świecie. We wstępie czytamy: „Temat Gułagu stanowił punkt newralgiczny prawdy i kłamstwa o Rosji Sowieckiej. Nie bez powodu właśnie dzieło Solżenicyna *Archipelag Gułag* osta-

tecznie podkopało propagandowe fundamenty gmachu sowieckiego kłamstwa, wznoszonego na użytek Zachodu” (s. 24).

Omawiana książka składa się z sześciu rozdziałów. Pierwszy ma charakter wprowadzający i mówi o tym, jak kształtował się obraz Rosji w wyobrażeniach Zachodu przed rewolucją 1917 r. Czytamy m.in. o wielbicielu Piotra I — Wolterze, o Josephie de Maistre, o markizie de Custine, o Josephie Conradzie i jego powieści *W oczach Zachodu*. Przypomnienie słynnych potiomkinowskich wiosek z czasów dbającej o wizerunek Rosji Katarzyny II nasuwa refleksję, iż były one antycypacją tego, co działo się w XX w.

Rozdział drugi obejmuje okres od przewrotu październikowego w 1917 r. do końca lat 20. Jak pisze Autor, po przejściu władzy przez Lenina opinia publiczna na świecie „stała się obiektem systematycznego oddziaływania bolszewickiej propagandy, pracownicy mistyfikującej obraz Rosji” (s. 45). Przed Zachodem ukrywano fakt istnienia obozów koncentracyjnych stanowiących rezerwar niewolniczej siły roboczej, a także stosowania represji czy wprowadzenia czerwonego terroru. Starano się przekonać zachodnią opinię, że Rosja jest normalnym krajem.

Nieocenione usługi oddawali bolszewikom „pożyteczni idioci” (określenie Lenina) — zachodni intelektualiści, zafascynowani ideą rewolucji i przewrotem, jaki dokonał się w Rosji. Ich niewiedza i brak zrozumienia zdarzeń i procesów zachodzących w tym państwie były okolicznością nad wyraz sprzyjającą sowieckim propagandystom. Francuscy czy amerykańscy dziennikarze, oficerowie, dyplomaci i pisarze (jak John Reed, kapitan Jacques Sadoul, William Bullitt, Louis Aragon i inni), pełni entuzjazmu dla nowego ustroju, sławili Kraj Rad w wypowiedziach, reportażach i utworach poetyckich wydawanych na Zachodzie.

Autor zwraca uwagę, że nie tylko probolszewicy intelektualiści milczeli na temat terroru, więzień i łagrów w Rosji Sowieckiej. Środowisko jak najdalsze od komunistycznych sympatii — świat wielkiego biznesu — również przymykał oczy na to, co działo się pod rządami bolszewików, choć przyczyny owej powściągliwości były zupełnie inne. Europejscy i amerykańscy ludzie biznesu myśleli nad wyraz pragmatycznie i postrzegali Rosję przede wszystkim jako potencjalnego partnera w interesach.

Z jeszcze innego powodu porozumieli się z bolszewikami Niemcy nacjonałiści. Rosję i Niemcy łączyło pragnienie jak najszybszej likwidacji skutków traktatu wersalskiego (w tym zlikwidowanie odrodzonej Polski) i już w 1922 r. doszło do zbliżenia obu państw, kiedy to zawarto układ w Rapallo. I w tym wypadku ideologia okazała się kwestią mniej ważną: geopolitykę uznano za sprawę nadrzędną.

Celem Kremla było wyjście Rosji Sowieckiej z izolacji na arenie międzynarodowej. Aby go osiągnąć, władze bolszewickie propagowały na Zachodzie pozytywny wizerunek własnego kraju. Tu jednak prosta propaganda nie zapewniała wystarczającej wiarygodności. Jak słusznie zauważa D. Tolczyk, „bolszewikom zależało na tym, żeby zachodnie media, w miarę możliwości, mówiły to, co oni sami chcieli Zachodowi wmówić. Nie chodziło im przy tym o zachodnią propagandę komunistyczną z natury rzeczy postrzeganą jako stronnicza, lecz o media cieszące się wśród establishmentu opinią obiektywnych i miarodajnych” (s. 78).

Wyrazistym przykładem kariery zachodniego dziennikarza na usługach Moskwy jest Walter Duranty. Był on mało znaczącym pracownikiem paryskiego biura „New York Timesa” i dopiero jako moskiewski korespondent tej gazety stał się gwiazdą dziennikarstwa. Dementował m.in. pogłoski o masowym głodzie w 1921 r. i o terrorze kolektywizacji w latach 30., a o więzieniach i łagrach pisał, iż są one w znacznym stopniu wymysłem zachodniej propagandy. W swoich doniesieniach przekazywał świetlany obraz Kraju Rad. Taką postawą zaskarbił sobie wdzięczność w obu krajach. Mówiono, że pozostawał na żołdzie sowieckiej



policii politycznej i że za cichą zgodą władz czerpał też zyski z przemytu. W USA zaś cieszył się opinią czołowego autorytetu w sprawach sowieckich. W 1932 r., gdy w ZSRR szalał terror kolektywizacji i miliony chłopów doprowadzono do śmierci z głodu, Duranty otrzymał za swoje korespondencje Nagrodę Pulitzera, którą uhonorowano jego „erudycję, głębię, obiektywizm, trafność sądów oraz wyjątkową jasność”.

Rozdział trzeci jest zatytułowany *Wielki teatr* i tytuł ten idealnie oddaje istotę rzeczy. Czytamy o latach 30. i o tym, w jakim kierunku ewoluowały postawy Zachodu, szczególnie wobec przemocy w ZSRR. Autor analizuje przyczyny niedostrzegania i bagatelizowania bolszewickiego terroru. Píše, że dla obu stron taka sytuacja była dogodna, sytuacja, w której nastąpiła symbioza oszukujących i oszukiwanych.

Książka Tołczyka ukazuje historię zbrodni, kłamstwa i cynizmu. Znane są dzieje budowy Kanału Białomorskiego, którego fenomen polegał nie tylko na tym, iż było to monumentalne dzieło — wytwór masowej pracy niewolniczej. Wznoszonemu na polecenie Stalina kanałowi towarzyszyła hałaśliwa kampania propagandowa, a jej ukoronowanie miała stanowić oficjalna księga, upamiętniająca owo bezprecedensowe „osiągnięcie”. Przedtem, latem 1933 r., autorzy tej zbiorowej pracy, sowieccy pisarze, odbyli zorganizowaną przez OGPU wycieczkę po świeżo zbudowanym kanale, gdzie m.in. spotkali się ze starannie wybranymi więźniami. Księga pióra trzydziestu sześciu literatów (m.in. Maksym Gorki, Aleksy Tołstoj, Walentin Katajew, Michaił Zoszczenko czy Boris Pilniak) miała w założeniu władz wzmacniać wrażenie obiektywizmu. Tołczyk pisze o różnych motywach udziału w tym haniebnym przedsięwzięciu nie tylko miernych, ale i niektórych znakomitych pisarzy.

Dzieło zatytułowane *Białomorsko–Bałtycki Kanał imienia Stalina. Historia budowy* zostało przetłumaczone na angielski i wydane w USA, gdzie odegrało rolę przewidzianą dlań przez władze sowieckie. Autor recenzowanej książki zastanawia się, dlaczego publiczność na Zachodzie raczej wierzyła w zapewnienia o wychowawczej roli pracy w Gułagu, o „nawróceniach” więźniów, którzy poddani reedukacji w łagrach stawali się uczciwymi obywatelami sowieckimi, niż w świadectwa uciekinierów z Rosji, których wspomnienia publikowano w Nowym Jorku czy Londynie.

Jedną z przyczyn była sytuacja gospodarczo–społeczna świata zachodniego. „Czarny wtorek” 29 X 1929 r. — to dzień załamania się nowojorskiej giełdy, a zarazem, zdaniem Tołczyka, początek nowego myślenia o ZSRR. „Na Zachodzie znów zapanował głód utopii. Po raz kolejny kierowano wzrok na wschód, tam gdzie świat zachodni tradycyjnie upatrywał pozytywnych alternatyw dla własnych ograniczeń i cudownych rozwiązań dla swoich bolączek. Spoglądano na Rosję” (s. 122). W okresie depresji ekonomicznej na Zachodzie wielu polityków i biznesmenów wiązało wielkie nadzieje na współpracę gospodarczą z ZSRR.

Drugim niezmiernie ważnym czynnikiem było dojście Hitlera do władzy w Niemczech w 1933 r. Za sprawą nieodmiennie sprawnej propagandy sowieckiej, ale też dzięki życzliwemu jej przyjmowaniu przez zachodnich odbiorców, w Europie i USA upowszechniał się wizerunek Stalina odgrywającego rolę anti–Hitlera.

Rozdział *Czarno–biały western* poświęcony został II wojnie światowej. Sojusz Stalina z Hitlerem i agresja przeciwko Polsce — podkreśla Autor — stały się zaprzeczeniem dotychczasowego obrazu świata takiego, jakim widziano go na Zachodzie. Fakty te jawiły się jako wręcz niewyobrażalne. Jedną z konsekwencji był np. spadek liczby członków Komunistycznej Partii USA. Polityka Stalina wywoływała dezaprobatę opinii publicznej i zachodnich rządów. Zarazem jednak prezydent USA Franklin Delano Roosevelt zachował w latach 1939–1941 stosunki dyplomatyczne z ZSRR, a handel między obydwojma krajami osiągnął wówczas rekordowy poziom.

Inwazja Niemiec na ZSRR otworzyła nie tylko nowy rozdział w toczącej się wojnie, ale też nowy etap w relacjach Sowietów z Zachodem. Z dnia na dzień wróg stał się przyjacielem. Z pamięci społeczeństwa amerykańskiego i brytyjskiego starano się wymazać sowieckie zbrodnie, agresję na państwa Europy Środkowo-Wschodniej i sojusz Stalina z Hitlerem. Kalkulacja polityczna sprawiła, że władze mocarstw zachodnich zaczęły propagować jasny wizerunek ZSRR i sowieckiego przywódcy. Prawdę o Gułagu, o zsyłkach czy o Katyniu starano się ukrywać, a relacje świadków — podważać. W wydawanych w polskich jednostkach wojskowych podległych brytyjskiemu dowództwu polskojęzycznych pismach brytyjska cenzura konfiskowała teksty odnoszące się np. do przeżyć na „nieludzkiej ziemi”. Taka polityka dotknęła również George’a Orwella, który w 1943 r. próbował opublikować swoją książkę *Folwark zwierzęcy*. Wydawcy nie zgodzili się na wydanie utworu demaskującego w satyrycznej formie sowiecki totalitaryzm.

Następny rozdział nosi tytuł *Oślepiający mrok* i mówi o tym, jak gorzki smak miało zwycięstwo nad Hitlerem będące zarazem triumfem Stalina. Autor nie tylko przypomina o deportacjach i zsyłkach, które dotknęły całe narody. Najbardziej poruszające są fragmenty dotyczące tzw. „repatriacji”. W momencie zakończenia wojny na terenach Niemiec i państw do niedawna przez nie okupowanych znajdowało się ok. 5 milionów sowieckich obywateli (wśród nich: jeńcy wojenni, więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych, uchodźcy oraz żołnierze formacji ochotniczych walczących u boku armii niemieckiej). Na żądanie Stalina alianci wzięli udział w przekazywaniu ich władzom ZSRR. Podczas akcji „repatriacji” dochodziło do dramatycznych scen, gdyż ludzie ci, wiedząc, jaki los czeka ich po powrocie do kraju, za wszelką cenę chcieli uniknąć deportacji. Jednak Brytyjczycy, Amerykanie i Francuzi skwapliwie wysyłali swoich żołnierzy (często wbrew ich woli) do wylapywania poddanych Stalina i ładowania ich na siłę do pociągów zmierzających na wschód. Towarzyszyły temu akty przemocy ze strony wojsk alianckich i akty desperacji wśród deportowanych: liczne były wypadki samobójstw. Amerykański historyk George Fischer określił przymusową repatriację do ZSRR „niezmywalną plamą na honorze Zachodu” (s. 241).

W podrozdziale *Przecieranie oczu* jest mowa m.in. o zmianie w retoryce zachodnich mocarstw oraz literaturze dotyczącej sowieckich łagrów i w ogóle całego systemu, jaka zaczęła się ukazywać na Zachodzie po słynnym wystąpieniu Winstona Churchilla w Fulton w 1946 r. Opublikowano m.in. książki Józefa Czapskiego, Orwella, Artura Koestlera czy — nieco później — *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Jak zauważa Tołczyk, „na Zachodzie znów funkcjonowały dwie wersje prawdy o sowieckim komunizmie: wersja oprawców i wersja ofiar” (s. 249).

Ostatni rozdział przedstawia *Rozpad starych dekoracji*. Rozpoczyna go śmierć Stalina 5 III 1953 r., która stała się początkiem końca Gułagu. Słynny referat Chruszczowa wygłoszony na XX zjeździe KPZR otworzył — jak pisze Tołczyk — puszkę Pandory. Ludzie pióra w ZSRR zaczęli teraz testować granice wolności słowa, a w owym teście najważniejszym punktem stał się temat Gułagu. Czytamy o roli, jaką odegrało dzieło Aleksandra Sołżenicyna od *Jednego dnia Iwana Denisowicza* wydanego w ZSRR po *Archipelag Gułag* opublikowany w 1973 r. na Zachodzie. Ta ostatnia książka, jak słusznie zauważa Autor, stała się dziełem o znaczeniu epokowym. Tołczyk przypomniał też zasługi innych pisarzy, którzy w swojej twórczości podjęli tematykę łagrową (m.in. Jewgienija Ginzburg, Wałłam Szałamow, Georgij Władimow, Wasilij Grossman). Zmagali się oni, bez powodzenia, z sowiecką cenzurą i wobec zakazu najwyższych urzędników nie zdołali opublikować swoich książek w ZSRR. Wydano je na Zachodzie. Władze sowieckie nie zamierzały powtarzać błędu, za jaki uznały poniewczasie wyrażenie zgody na to by *Jeden dzień Iwana Denisowicza* ukazał się w kraju.

Ciekawa jest zmiana w recepcji problematyki gułagowej wśród zachodnich czytelników po śmierci Stalina. Wraz z nastaniem odwilży w ZSRR zaczęli oni traktować Gułag jako temat historyczny. Autor omawianej książki przyjmuje rok 1987, kiedy to Gorbaczow nakazał zwolnić wszystkich więźniów politycznych przetrzymywanych w łagrach, za koniec istnienia Gułagu. Jednakże, zdaniem Tołczyka, sprawa nie jest zamknięta. Przesłaniem tej ważnej i potrzebnej książki jest imperatyw pamiętania i przypominania. Gdyż zapomnienie, usprawiedliwianie czy negowanie zbrodni to opowiadanie się po stronie oprawców, to współuczestnictwo w haniebnych dokonaniach totalitaryzmu. Tak w największym skrócie odczytuję intencje, jakie przyświecały Autorowi.

*Gułag w oczach Zachodu* to praca oparta na bogatej literaturze (publikacje w języku angielskim, polskim, rosyjskim, w tym opublikowane zbiory dokumentów, prasa, wspomnienia). Można jednak wytknąć pewne braki, jak np. pominięcie książek Michała Hellera (*Utopia u władzy*, a przede wszystkim: *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka*) czy monumentalnego opracowania Jacques'a Rossi (ukazało się w wielu językach; tytuł rosyjskiego wydania: *Sprawocznik po Gułagu*). W zasadzie wszystko, o czym czytamy w omawianej książce, zostało dobrze udokumentowane, tylko niektóre fragmenty nie mają „podpory” w postaci odsyłaczy (np. na jakiej podstawie opisano proces 16 przywódców Polski Podziemnej w 1945 r. — s. 232–234; skąd zaczerpnięto informacje o Kongresie Wolności Kultury, który się odbył w 1950 r. w Berlinie Zachodnim? — s. 261). Wątpliwość budzi tłumaczenie terminu stosowanego w sowieckiej psychiatrii lat 60.: „schizofrenia spowolniona” (s. 304). W polskiej literaturze przedmiotu raczej używa się określenia „schizofrenia bezobjawowa”.

Drobne potknięcia, rzecz jasna, nie mają większego znaczenia. Warto podkreślić, że tę niezmiernie interesującą książkę czyta się świetnie, mimo że temat nie należy do lekkich. Na szczególne uznanie zasługuje język, jakim posługuje się Autor. Okropności dwudziestowiecznej historii zostały przekazane w pięknej formie, co jeszcze pogłębia odczuwanie dramatyizmu wydarzeń.

Aleksandra J. Leinwand  
Warszawa